

# LAISSEZ FAIRE

PISMO KONSERWATYWNO-ANARCHISTYCZNE

NUMER 8, KWIECIEŃ 2007

www.mises.pl

 **INSTYTUT  
MISESA**  
Fundacja Instytut Ludwiga von Misesa

## PIERWSZA KOLUMNA

Unia Europejska świętuje w tym roku swoje pięćdziesiąte urodziny. To w marcu, dokładnie pięćdziesiąt lat temu, podpisano tzw. traktaty rzymskie, które miały stanowić fundament przyszłej, pełniejszej integracji. Jak w każde urodziny, były gratulacje i gromkie brawa, ale nie obyło się też bez życzeń, które ujawniły, że właściwie nikt nie jest zadowolony z obecnego kształtu Unii.

Dla socjalistów i skrajnych euro-entuzjastów UE jest zbyt narodowa, za mało zjednoczona, nie dość socjalna i zbyt nierównomiernie rozwinięta. Prawicowcy z kolei martwią się brakiem wspólnej tożsamości ideowej państw członkowskich, pogardą dla wartości chrześcijańskich, otwartością na islam i wielokulturowością. Jednak pytania o kształt Unii, o to, jaka ma ona być, zdają się pomijać bardzo ważne, podstawowe wręcz, pytanie: czy w ogóle ma być. Istnienie UE nie jest bowiem wcale przesądzone, a ponowoczesne przemiany kulturowo-społeczne w państwach Europy Zachodniej zdają się sugerować, że *Zeitgeist* jest raczej przeciwko unifikatorom.

Dziś, jak stwierdza francuski myśliciel Jean-François Lyotard, nie tylko nie wierzymy już w wielkie opowieści, w racjonalistyczne projekty ani oświeceniowe wizje – takie np. jak Wielka Wspólnota Europejska, która przyniesie bogactwo i dobrobyt wszystkim Europejczykom – ale nawet za nimi nie tęsknimy. W naszych stechnicyzowanych, postindustrialnych społeczeństwach:

... dawny układ polaryzacji, ukształtowany przez państwa narodowe, partie, grupy zawodowe, historyczne instytucje traci swą siłę przyciągania. I nie wydaje się, żeby jego miejsce miał zająć jakiś inny, przynajmniej na właściwym mu poziomie. Instytucja powołana do rozwiązywania problemów w skali trzech kontynentów nie jest biegunem przyciągającym masy. „Identyfikacja” z

wielkimi nazwiskami, z bohaterami współczesnej historii wydaje się coraz trudniejsza. Nie budzi specjalnego entuzjazmu idea poświęcania się, by dogonić Niemcy, co francuski prezydent zdaje się wskazywać swoim ziomkom jako życiowy cel<sup>1</sup>.

Te słowa zostały napisane blisko 30 lat temu, ale łatwo się przekonać, że nader trafnie diagnozują obecną sytuację. Oto na przykład w Niemczech i kilku innych pań-

<sup>1</sup> J.F. Lyotard, *Kondycja ponowoczesna*, Warszawa 1997, s. 58.

## SPIS RZECZY

### Idee

- Tomislav Sunic  
– *Rozmowa o Europie, ponowoczesności i Nowej Prawicy*..... 2  
Murray N. Rothbard  
– *Problemy narodowościowe*..... 5

### Problemy

- Juliusz Jabłecki  
– *Mikrokredyt czy makromanipulacja?* ..... 12

### Miscellanea

- Łukasz Kowalski  
– *Libertarianizm w Kaczogrodzie* .... 14

### Książka

- Karol Lew Pogorzelski  
– *Przestępcy z Łubianki oczami Aleksandra Litwinienki* ..... 20

Copyright © 2007  
by Fundacja Instytut  
im. Ludwiga von Misesa

**Redaktor naczelny:**  
Juliusz Jabłecki

**Zastępca redaktora  
naczelnego:**  
Karol Lew Pogorzelski

**Redaktor techniczny:**  
Mikołaj Barczentewicz

„Laissez Faire” ukazuje się jako miesięcznik. Poglądy prezentowane przez autorów nie muszą się pokrywać ze stanowiskiem Instytutu Misesa.

www.mises.pl  
mises@mises.pl

Ten numer „Laissez Faire” ukazał się dzięki pomocy Pana Dariusza Szumiły.

Za pomoc w korekcie dziękujemy Janowi Falkowskiemu.

Listy do redakcji oraz propozycje artykułów prosimy przysyłać na adres: redakcja@mises.pl.

stwach europejskich ogromną popularnością cieszą się prywatnie emitowane waluty, stanowiące lokalne alternatywy wobec euro. Emitent najpopularniejszej z nich, bawarskiego Chiemgauera, wyraźnie deklaruje antyintegracyjną dewizę przyświecającą jego projektowi: „jesteśmy obywatelami regionu Chiemgau i sami troszczymy się o nasze pieniądze”.

Wygląda zatem na to, że ponowoczesna nieufność wobec wielkich narracji objęła – obok chrześcijaństwa – także modernistyczne koncepcje państwowości i społeczeństwa. Nikt nie chce już być częścią żadnej Wielkiej Narracji – współczesny Europejczyk woli być bohaterem swej małej historii. Jest przeto coraz bardziej prawdo-

podobne, że niebawem staniemy w obliczu podobnego problemu, jakiemu 17 lat temu musiała stawić czoła wspólnota międzynarodowa – upadku Imperium. Miejmy tylko nadzieję, że tym razem uda się uniknąć popełnionych niegdyś błędów, a demontaż ponadnarodowego molocha nie będzie powrotem do tyranii państw narodowych, przed czym m.in. przestrzega publikowany w tym numerze artykuł Murraya Rothbarda.

Juliusz Jabłecki  
redaktor naczelny

## Idee

# O Europie, ponowoczesności i Nowej Prawicy

z Tomislavem Sunicem\* rozmawia Juliusz Jabłecki

*Panie Doktorze, Wspólnota Europejska obchodzi właśnie swoje pięćdziesiątce. Co sądzi Pan, jako myśliciel polityczny a także po prostu jako Chorwat, o procesie integracji politycznej? Czy w doświadczeniach regionu, z którego Pan pochodzi, tkwi jakaś nauczka dla powstającej Unii Europejskiej?*

Unia Europejska i jej apologety mogliby wyciągnąć wnioski nie tylko z historii Chorwacji, ale przede wszystkim z historii innego kraju bałkańskiego – Jugosławii. Otóż małżeństwa zawierane pod przymusem nigdy nie trwają długo. Społeczeństwa wielokulturowe i wielonarodowościowe są skazane na klęskę. Zresztą Unia, wbrew wszystkim jej portretom, odmalowywa-

nym różowymi barwami przez rozmaitych chęćców, i tak się już rozpada.

*Dlaczego?*

Ponieważ brakuje jej wspólnej kulturowej, transcendentnej więzi; jest jedynie gospodarczą drezyną zmierzającą do zamienienia Europy i zakorzenionych w niej kultur w łatwo przyswajalne, nietrwałe, gotowe do spożycia produkty. Dawno już minęły czasy prawdziwych Europejczyków, takich jak Książę Eugeniusz Sabaudzki czy Karol V, albo nawet Habsburgowie!

*Wielu konserwatywnych liberalistów ostrzega, że jesteśmy w Europie świadkami narodzin nowego superpaństwa. Ale może te obawy są nieco przesadzone... Przecież już Lyotard zauważył, że współcześnie nie wierzymy już w wielkie narracje. Czyż Unia Europejska nie jest po prostu kolejną metanarracją, wobec której ponowoczesny człowiek będzie coraz bardziej i bardziej sceptyczny?*

\* Tomislav Sunic jest chorwackim myślicielem politycznym, poetą, pisarzem i jednym z czołowych ideologów europejskiej Nowej Prawicy. Napisał m.in. *Against Democracy and Equality: The European New Right* (1990), *Titoism and Dissidence* (1995) oraz *Homo americanus: Child of the Postmodern Age* (2007).

Zapewne tak. Prawdę mówiąc, cały ten wielki dyskurs ważniaków z Brukseli – z tymi wszystkimi kwiecistymi sformułowaniami, jak „transformacja”, „transparentność”, „prawa człowieka”, „integracja euroatlantycka”, „społeczeństwo obywatelskie” itp. – bardzo mi przypomina nowomowę niegdysiejszych polskich i jugosłowiańskich aparatczyków komunistycznych. Unia Europejska, której Komisja stała się nowym Politbiurem, nie przystaje do mrzonek o Euro-sławii. To nie są puste słowa – wystarczy sprawdzić rodowód kluczowych rozgrywających w Komisji Europejskiej: większość to byli marksiści z pokolenia '68, którzy kiedyś dali się zauroczyć titoistowskiemu, sowieckiemu albo chińskiemu romantyzmowi politycznemu, a którzy teraz nagle zawzięcie bronią rynku globalnego i „zbawiennych” zagranicznych interwencji militarnych w tej czy innej formie.

*Prawica zazwyczaj krytykuje ponowoczesność za jej dekadencję, brak kręgosłupa moralnego, libertynizm itp. Jak Pan postrzega ponowoczesność? Czy myśli Pan, że panujący Zeitgeist mógłby w jakiś sposób posłużyć sprawie konserwatywnego anarchizmu?*

Naturalnie! Jeśli słowa „ponowoczesność” używa się w jego pierwotnym sensie, to w istocie może ono być jednym z haseł definiujących stanowisko Nowej Prawicy, faktycznie po-nowoczesnej. Wówczas jest ono bliższe innym – ukutym tu naprędce – określeniom, jak „ponowoczesny archaizm” lub „archaiczna ponowoczesność”. Notabene motywy takie pojawiają się we współczesnej muzyce, w twórczości gotyckich czy pogańskich zespołów heavymetalowych, takich jak „Blood and Honor” lub „Laibach”. Ponowoczesnych inspiracji można też szukać wśród wczesnych postkonserwatywnych artystów pokroju włoskiego futurysty Tommaso Marinetti’ego, niemieckiego poety Gottfrieda Benn’a czy pisarza Ernsta Jünger’a. Problemem jest w dużym stopniu wciąż to, kto tak naprawdę definiuje, czym jest ponowoczesność. Moja definicja jest o miliony lat świetlnych odległa od tej sformułowanej przez eks-marksistów.

*To znaczy? Co Pan ma na myśli?*

Ponowoczesność można rozumieć jako anty-nowoczesność, i taką interpretację w pełni popieram. Trzeba tu przede wszystkim odrzucić linearną koncepcję czasu, którą przez ostatnie sto lat wbijali nam do głów marksistowscy i liberalni myśliciele modernistyczni (a także w pewnym sensie postmodernistyczni). Bycie postmodernistą może dziś bowiem także oznaczać sięganie do mitycznej historii Europy i wskrzeszanie jej dawno zapomnianego dziedzictwa. Chodzi wszak o zarzucenie „ideologii postępu”, która nieodmiennie przynosiła Eu-

ropejczykom różne cierpienia. Warto w tym kontekście wspomnieć o niebywałej wprost popularności J.R.R. Tolkiena, który był przecież w jakimś sensie konserwatystą i szowinistą, ale którego książki są przesiąknięte duchem tak rozumianej ponowoczesności. Nie jest też przypadkiem, że współcześni artyści i pisarze w coraz większym stopniu inspirują się odległą przeszłością swoich krajów, od stuleci zagłuszanej przez liberalno-marksistowską narrację progresywizmu. Marksistowscy zwolennicy postmodernizmu nie docenili potęgi irracjonalnych instynktów pierwotnych, które obecnie przejmują nad ludźmi coraz większą kontrolę. Ta nowa forma „pogańskiej ponowoczesności” – jakkolwiek dziecinnie by to nie wyglądało – jest poważnym i pozytywnym znakiem, że dziś wszelkie narracje postępu po prostu się wyczerpują.

*Nawet pobieżny rzut oka na Zachodnią Europę wystarczy, aby zdać sobie sprawę, że niektóre przemiany kulturowe zaprowadziły ją na manowce. Ale czy problemem są naprawdę zmiany kulturowe jako takie, czy może raczej ich państwowa instytucjonalizacja?*

W Europie nie ma już kultury. Żadnej. Zarówno jej wschodnia, jak i zachodnia część próbują tylko groteskowo naśladować amerykańską subkulturę z Hollywoodu (to między innymi tym zajmuję się w mojej nowej książce *Homo americanus: Child of the Postmodern Age*). Wszystko, co pozostało w Europie, to skostniałe muzea wspomnień, odcięte od doświadczeń prawdziwego życia i służące jedynie upamiętnieniu jakiejś odległej krainy „za siedmioma górami, za siedzioma lasami”. Niekończące się uroczystości wspomnieniowe – swoiste rytuały muzealne – są właśnie wyróżnikiem liberalnej koncepcji ponowoczesności. W Europie i w Stanach są na przykład muzea poświęcone dinozaurom, ginącym gatunkom skorupiaków, rzadkim odmianom kangurów itp. Jak tak dalej pójdzie, to niedługo w muzeach pojawią się też nowe eksponaty zaetykietowane „Biały Europejczyk – gatunek wymarły”. To właśnie pokazuje, jak dalece szkodliwa jest dla Europy liberalna dekadencja.

*Jak Pan się zapatruje na fakt, że rządy wielu krajów starają się monopolizować proces kształtowania historii narodowych? Dlaczego kontrola nad historią jest tak ważna dla naszych przywódców? Jest Pan przecież znawcą Niemiec, jak Pan ocenia ich sytuację?*

Treść i forma współczesnego dyskursu są pokłosiem tzw. nowego ładu światowego, podtrzymywanego przez takie instytucje jak UE czy ONZ, w których urzędnicy zręcznie kontrolują to, co wolno powiedzieć, opierając się – z braku argumentów – na ideologii antyfaszyzmu. Jest to klasyczny przykład negatywnego uprawomocnie-

nia, polegającego na tym, że klasa rządząca w Europie szkazuje wszelką inność, aby utwierdzać własne panowanie. Niemcy to forpocząta takiego negatywnego uprąwomocnienia. Dyskurs polityczny definiuje się tam – a stopniowo także w pozostałych częściach Europy – przez negację, tzn. wszelkie wypowiedzi muszą być tam, przy najmniej implicite, poprzedzone przedrostkiem „anty” – np. „antyfaszizm”. Wszystkie nowoczesne narracje polityczne biorą swój początek w roku 1945, czyli właśnie w czasie, kiedy rodziła się epoka „antyfaszizmu”. Niemcy odgrywają na światowej scenie rolę globalnego urzędnika państwowego – w zasadzie uczciwego, lecz potencjalnie niegrzecznego, chłopca z oenzetowskim superego, którego gdzieś zza kurtyny pilnuje wujaszek Sam z różeczką. Chociaż dużo się mówi o końcu historii i zmierzchu wszystkich wielkich narracji, lepiej mieć się na baczności. Antyfaszystowskie słownictwo i kodeks poprawności politycznej są siłą napędową klasy panującej, jej nadwornych historyków, intelektualistów i mediów. Za nieprzestrzeganie tych bzdurnych paragrafów można trafić do więzienia.

*Murray Rothbard uważał, że nie ma czegoś takiego jak prawo „wolności słowa”, ale istnieje za to niepodważalne prawo posiadania gazety i publikowania w niej wszystkiego, na co tylko ma się ochotę. Co Pan sądzi o niedawnej decyzji Rady ONZ, zgodnie z którą wolność słowa może być ograniczana ze względu na poszanowanie uczuć religijnych?*

„Wolność słowa”, podobnie jak „język nienawiści” (ang. „hate speech”), to nonsensowna akrobatyka werbalna – zresztą bardzo źle zdefiniowana. Definiowanie to przecież ustalanie ram konceptualnych. Ale co miałyby oznaczać określenie „wolność słowa” w społeczeństwie wielokulturowym albo w globalnym, kosmopolitycznym świecie, w którym równolegle funkcjonują miliony wiktyologii, różne historie i sprzeczne rezultaty badań nad liczbami ofiar konfliktów? To, co stanowi prawdę historyczną dla palestyńskiego wieśniaka w Strefie Gazy może być niewybaczalnym bluźnierstwem dla izraelskiego osadnika. To, co niemiecki historyk uzna za fakt historyczny dotyczący historii niemieckich uciekinierów z Gdańska może zostać uznane za kłamstwo czy potwarz przez polskiego historyka. To samo dotyczy Serbów i Chorwatów z ich przeciwstawnymi narracjami historycznymi. Właśnie w związku z nieprecyzyjnym określeniem wolności słowa dochodzi do tego, że prawda historyczna, np. o tym, co się wydarzyło się w czasie II wojny światowej, jest obecnie definiowana przez sądy, organizacje międzynarodowe i policjantów, a nie przez historyków.

*Chciałbym nieco zmienić temat. Jest Pan, obok Alaina de Benoist, jednym z przedstawicieli ruchu intelektualnego nowej prawicy. Co takiego nowego jest w „nowej prawicy”?*

Określenie „nowa prawica” nie jest zbyt szczęśliwe, bo w istocie nie rościmy sobie pretensji do głoszenia jakichkolwiek nowych poglądów. Zgadza się z moim przyjacielem Alainem de Benoist, że nazwa ruchu jest dość niezgrabnym określeniem, ukutym *faute de mieux* we wczesnych latach 70, które może się nieszczęśliwie kojarzyć z amerykańskim neokonserwatyzmem, będącym całkowitym zaprzeczeniem postulatów europejskiej nowej prawicy. Niestety z braku lepszego słowa, jesteśmy chyba skazani na tę nieszczęsną nazwę „nowa prawica”. Europejska nowa prawica nie jest jednak ani ruchem, ani żadną partią polityczną, ale raczej luźnym stowarzyszeniem niezależnie myślących intelektualistów i erudytów, których zainteresowania obejmują szerokie spektrum problemów od współczesnej poezji i sztuki aż do genetyki i socjologii oraz ich roli w procesie podejmowania decyzji politycznych. Uważam, że to właśnie tą drogą powinni podążać konserwatywni intelektualiści europejscy, którzy zamierzają przedrzeć się przez zasłonę milczenia i walczyć z dyktaturą poprawności politycznej.

*Czy mógłby Pan powiedzieć parę słów o swojej nowej książce Homo americanus: Child of the Postmodern Age?<sup>1</sup> Tytuł sugeruje, że nie jest Pan raczej entuzjastą współczesnej Ameryki...*

W okresie zimnej wojny antykomunistyczna Ameryka i tzw. wolny Zachód bezwzględnie drwiły z *homo sovieticus*, tzn. z wytworów komunizmu: tamtejszego człowieka, aparatczyków, nomenklatury, zakłamania itd. Czyż teraz, po upadku komunizmu, nie nadszedł przypadkiem czas, aby spojrzeć krytycznie na kapitalizm i liberalizm w wydaniu amerykańskim? To właśnie temu poświęcona jest moja książka, chociaż inaczej niż większość francuskich czy niemieckich autorów, staram się unikać prymitywnego antyamerykanizmu. Chciałem przede wszystkim pokazać, że ponowoczesna Ameryka jest o całe lata świetlne odległa od celów, które pierwotnie chciała osiągnąć. Zwracam też uwagę na piętno kalwińskiego purytanizmu, które wywołało niespotykane praktycznie nigdzie indziej umoralnienie życia politycznego. Dobrym przykładem jest tu swoiste para-biblijne poczucie powołania, określające amery-

<sup>1</sup> Zob: Homo americanus: Child of the Postmodern Age (2007) <http://www.amazon.com/Homo-americanus-Child-Postmodern-Age/dp/1419659847>

kańską świadomość i sposób patrzenia na świat. To znamienne, że cechuje ono w równym stopniu amerykańską prawicę i lewicę. Ponowoczesna Ameryka ze swymi abstrakcyjnymi teoriami wielokulturowości i pragnieniem postępu przyczyniła się do stworzenia systemu szkodliwego nie tylko dla niej samej, ale i dla wszystkich narodów na świecie. Staralem się uwzględnić w książce nie tylko moje własne teksty lub tłumaczenia zachodnich intelektualistów, lecz szczególnie pozycje niemieckich i francuskich autorów – stąd niech nie będzie dla czytelników zaskoczeniem dość rozbudowana bibliografia.

*Czy wobec tych wszystkich pesymistycznych prognoz i ocen, które Pan formułuje, wciąż jest dla nas jakaś nadzieja? A jeśli poprawa sytuacji jest możliwa, to jak*

*ją osiągnąć? Działać czy może raczej – jak mawiał Voltaire – uprawiać własny mały ogródek i pozwolić współczesnemu człowiekowi iść do diabła, dokąd i tak zdaje się zmierzać?*

Waszym i moim moralnym obowiązkiem jest przede wszystkim uprawa własnego ogródka – dbanie nie tylko, aby nie zarósł chwastami, ale by wyrastały w nim nowe roślinki. Musimy w miarę naszych skromnych możliwości starać się zapewnić edukację przyszłym pokoleniom. Wszyscy mamy europejskich przodków; wszyscy mamy jakieś zdolności, które powinniśmy starać się pożytecznie wykorzystać. Historia nigdy się nie kończy, dlatego nie wolno nam się poddawać. Niech każdy z nas pisze swym życiem małą historię tak, aby było to z pożytkiem dla naszego wspólnego europejskiego dziedzictwa.

## Problemy narodowościowe\*

*Murray N. Rothbard*

Wraz z upadkiem scentralizowanego systemu totalitarnego komunizmu we Wschodniej Europie oraz rozpadem Związku Radzieckiego, dały o sobie znać, dotychczas skutecznie skrywane, zagadnienia natury etnicznej i narodowej, czego konsekwencją jest erupcja konfliktów narodowościowych. Rozkład systemu odgórnej kontroli odsłonił, trzymane w ukryciu, ale wciąż tętniące życiem, „pokłady” tożsamości etnicznej i narodowej.

Dla wszystkich spośród nas, którzy wysoko cenią etniczną różnorodność oraz szczerze pragną narodowej sprawiedliwości, wszystko to wydaje się cudowną szansą na realizację tego, co wcześniej było tylko fantazją albo co najwyżej przedmiotem pragnień: oto szansa dla Europy, by wreszcie odwrócić tę niewyobrażalną, podwójną niesprawiedliwość, której symbolem są Sarajewo oraz Wersal. Zupełnie jakbyśmy przenieśli się w czasie do 1914 lub 1919 r. i stanęli przed możliwością naszkicowania na nowo mapy Europy i Azji.

Po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej, a być może od czasów Wersalu, świat stoi w obliczu „sytuacji rewolucyjnej”. Taki stan pociąga za sobą wiele problemów i kosztów, z których doskonale zdajemy sobie sprawę i nie ma potrzeby ich przypominania. Nie zapominajmy jednak o korzyściach, płynących z obecnej

sytuacji: nie mówię tutaj tylko o upadku socjalizmu-komunizmu. Mam raczej na myśli fakt, że wszystko jest teraz możliwe, a umęczone komunizmem ziemie mogą w końcu zaznać tak długo oczekiwanej sprawiedliwości.

Jednakże większość Amerykanów jest bardziej zaniepokojona, niż zachwycona faktem ponownego pojawienia się problemów natury narodowościowej. Możemy wśród nich zaobserwować cztery różnie reagujące i przeciwstawne sobie grupy:

- a) przeciętni Amerykanie,
- b) marksiści-leniniści,
- c) światowi demokraci, do których zaliczam liberalne i neokonserwatywne skrzydło rządzące amerykańskim establishmentem,
- d) libertarianie.

### **Grupa pierwsza: przeciętni Amerykanie**

Przeciętny Amerykanin nie jest świadom wielu problemów. „Dlaczego oni wszyscy nie kierują się zasadą «żyj i pozwól żyć innym» i nie połączą się pokojowo, tak jak było w przypadku Stanów Zjednoczonych, które stały się tygłem kulturowym, złożonym z rozmaitych grup imigrantów?”. Na samym początku musimy zaznaczyć, że w takim hurraoptymistycznym spojrzeniu (Pollyanna view) na sytuację w USA zapomina się o sytuacji ludności ciemnoskórej, która zasymilowała się w bardzo małym stopniu i trudno mówić, że jest częścią jakiejś

\* Artykuł opublikowany po raz pierwszy w *The Rothbard-Rockwell Report* w sierpniu 1990 r.; następnie zamieszczony w książce *The Irrepressible Rothbard*. Przekład Marcin M. Sołtysik.

kulturowej całości. Co więcej – mamy do czynienia z głębokim konfliktem, w jakim ludność afroamerykańska nie była od końca XIX w.

Nawet jeśli nie uwzględnimy tego problemu, to trzeba zaznaczyć, że w XIX w. żaden kulturowy tygiel nie był spokojny i wolny od konfliktów. Od lat trzydziestych XIX w., aż po okres pierwszej I wojny światowej dominujący, północny, „jankeski” odłam protestancki (z wyjątkiem zatwardziały kalwinistów oraz eklezjalnych luteran) znajdował się pod silnym wpływem zacieklej, wojującej, pomilenijnej bigoterii. Jej celem stało się wypalenie z amerykańskiej ziemi „grzechu” (szczególnie w postaci alkoholu i Kościoła Katolickiego) za pomocą rządu. Skutkiem tej świętoszkowatości był opłakany los imigrantów katolickich oraz niemieckich luteranów i ciągle, trwające niemalże do samego końca XIX w. ataki, z jakimi spotkały się te społeczności. Koniec końców, owemu pietyzmowi udało się narzucić po I wojnie światowej restrykcje imigracyjne oraz limity narodowościowe (national origin quotas).

Nie biorąc jednak tego wszystkiego pod uwagę, musimy uznać jedyną w swoim rodzaju, całkowicie unikalną drogę rozwoju, jaką przeszły Stany Zjednoczone we współczesnym świecie: ziemia leżąca niemalże odłogiem (oczywiście z wyjątkiem ziemi należącej do amerykańskich Indian) została zaludniona przez rozmaite grupy imigrantów przybyłych z całej Europy, niosących z sobą cały wachlarz różnorodnych religii i etyk, a wszystko to w oparciu o wolną (w dużym stopniu), konstytucyjną republikę z językiem angielskim jako językiem oficjalnym.

Historia narodów w Europie, zupełnie inna niż w Azji, pełna jest podbojów i dominacji narodów „imperialnych”. Nie istniał jeden, powszechnie używany przez wszystkich język; narody ciemiejące słabsze od siebie nieustannie podejmowały próby wymazywania języków, a nawet nazw podbitych narodów. Jednym z najbardziej poruszających haseł, jakie dały się słyszeć podczas rozpadu imperium komunistycznego w zeszłym roku, było wymowne żądanie represjonowanej mniejszości tureckiej zamieszkującej Bułgarię oraz podbitych „Mołdawian” (Rumunów), przebywających w sowieckiej Mołdawii wyrwanej Rumunii po zakończeniu II wojny światowej: „oddajcie nam nasze imiona”.

Mołdawianie pragną pozbyć się zniechęconych rosyjskich nazw, narzuconych przez państwo sowieckie oraz jeszcze bardziej zniechęconej cyrylicy, która zastąpiła alfabet łaciński. Takie próby wynaradawiania i unicestwiania nie są jedynie produktem komunizmu. To praktyka stara jak świat: „imperialna” Francja nadal nie pozwala Celtom zamieszkującym Bretanię nadawać dzieciom celtyckich imion. Turcy wciąż nie chcą przy-

znać się do ludobóstwa, jakiego dopuścili się na mniejszości ormiańskiej podczas I wojny światowej, nie mają również zamiaru uznać mniejszości kurdyjskiej, określając ją pogardliwie „tureckimi góralami”.

### Grupa druga: marksiści-leniniści

Marksyści-leniniści to wprawdzie „wymierający gatunek”, jednak prześledźmy ich (malejącą obecnie) rolę w rozwiązywaniu konfliktów narodowościowych. Łatka „antyimperialistów”, jaka przyłgnęła do marksistów nie ma nic wspólnego z klasycznym marksizmem. Tak naprawdę Marks i Engels, co jest zgodne z ich promodernistycznym stanowiskiem, otwarcie popierali zachodni imperializm (szczególnie pruski, wymierzony w zniechęconych Słowian). Entuzjazm dla imperializmu idzie w parze z głoszonym przez nich poglądem, że im szybszy rozwój kapitalizmu oraz procesów modernizacyjnych, tym szybciej nastąpi „nieunikniony, ostateczny etap” historii – wybuchnie komunistyczna rewolucja proletariatu.

Jednakże Lenin, myśląc bardziej pragmatycznie, odrzuca marksizm na rzecz poparcia dążeń krajów Trzeciego Świata i bierze stronę chłopstwa. To właśnie w nich, a nie w rozwiniętych państwach kapitalistycznych, trafnie dostrzegł awangardę rewolucji. Leninizm, chociaż wielokrotnie deklarował poparcie dla prawa do narodowego samostanowienia (prawo zapisane zresztą na kartach sowieckiej konstytucji, ale w rzeczywistości ignorowane) był w istocie doktryną, której credo to centralizacja oraz uniformizacja narodów. Co ważniejsze, obecna kadra komunistyczna w każdym kraju bloku komunistycznego to wynaradowieni intelektualiści (często mieszkańcy kolonii, wykształceni przez marksistowsko-leninowskich profesorów w imperialnym Londynie, Paryżu, czy Lizbonie), którzy na ogół byli zupełnymi ignorantami w dziedzinie religii, kultury, czy etniczności, a często odnosili się do tych zagadnień z pogardą i wrogością. Oficjalny, przymusowy ateizm marksistowsko-leninowski jest najlepszym przykładem takiej agresywnej postawy.

To, jak w imię uniwersalistycznej ideologii leninowskiej poniewierane są kultury narodowe, najbardziej widoczne jest w Afryce. Centralistyczne rządy marksistowskie, posiadające władzę w wielu krajach Afryki, są spadkobiercami, zrodzonych u schyłku XIX w., zachodnich państw imperialistycznych. Wielka Brytania, Francja, czy Portugalia wkroczyły do Afryki, dzieląc ją na prowincje i nie uwzględniając afrykańskich realiów, tj. wysoce zróżnicowanej i podzielonej społeczności plemiennej, która definiuje afrykańską rzeczywistość polityczną. Liczne plemiona, z których niemal każde głęboko nienawidzi inne, nie mając ze sobą nic wspólnego

– ani kultury, ani języka, zwyczajów, czy tradycji – zostało przymusowo włączone do „kolonii”, których granice wyznaczono zgodnie z punktem widzenia imperialnych potęg Zachodu. Na domiar złego, oprócz wymuszonego mariażu, wiele z tych sztucznie wyznaczonych granic podzieliło dawne, rdzenne rejony plemienne na dwie lub więcej części. Doprowadziło to do sytuacji, w której okresowo migrujący członkowie plemienia byli zatrzymywani na granicy i oskarżani o „nielegalną imigrację” albo „agresję”.

Tragedia współczesnej Afryki polega na tym, że władze imperialne nie mają zamiaru się wycofać i pozwoleń miejscowym plemionom przejąć zagarnięte przed laty tereny. Zamiast tego centralistyczne i przymusowe rządy tych tak zwanych „narodów” zwróciły się ku wynarodowionym, wyedukowanym w stolicach imperialnych państw intelektualistom marksistowskim, którzy szybko przeistoczyli się w pasożytniczą klasę biurokratyczną. Nomenklatura opodatkowała i zaczęła represjonować pokojowo nastawione chłopstwo, które w głównym stopniu odpowiada za produkcję w Afryce.

### Grupa trzecia: światowi demokraci

Kwestie tożsamości narodowej spotkały się z bardzo istotną, negatywną reakcją establishmentu spod znaku „globalnej demokracji”. Istotną, ponieważ „światowi demokraci” stanowią główną siłę kształtującą amerykańską opinię publiczną. Zasadniczo poglądy tej grupy są bardziej wyrafinowane od poglądów przeciętnego Amerykanina. Odrzucają bowiem roszczenia narodów do samostanowienia jako krótkowzroczne, samolubne, zaściankowe, a nawet niebezpieczne i jawnie agresywne wobec innych narodów. Ponadto narody chcące odzyskać niepodległość naruszają, jak twierdzą demokraci, najświętsze z przykazań ich dekalogu: podważają słuszność „procesu demokratycznego”, który oznacza „wołę większości”, ograniczoną niekiedy „prawami człowieka” lub „prawami mniejszości”. Dlatego klątwa, jaką obłożone są narody i ich roszczenia, opiera się na tezie, że siłą rzeczy takie roszczenia są „niedemokratyczne” i tym samym nie przystają do nowoczesnego, współczesnego świata.

Jaka jest przyczyna tego, zdawałoby się osobliwego, chłodu administracji Busha wobec bohaterskich ruchów niepodległościowych, jakie pojawiły się na Litwie i w innych krajach nadbałtyckich? Nie chodzi tu tylko o realpolitik. Nie chodzi również o to, że Stany Zjednoczone są gotowe poświęcić je, by „ratować Gorbiego”. Byliśmy przecież świadkami niczym niezmaconej radości z wyzwolenia spod sowieckiego i komunistycznego jarzma oficjalnie uznanych państw, takich jak Polska, Węgry i Czechosłowacja. Jednak w przypadku narodów nadbał-

tyckich sprawy mają się zupełnie inaczej: stanowią one bowiem „część” Związku Radzieckiego i tym samym ich jednostronna secesja wbrew woli większości ZSSR jest afrontem wobec „demokracji” i „zasady większości” oraz, co należy szczególnie podkreślić, wobec jednolitego, centralistycznego państwa narodowego, które rzekomo ucieleśnia demokratyczny ideał.

Fakt, że Stany Zjednoczone nigdy nie uznały przymusowego wcielenia narodów nadbałtyckich do ZSRR (które miało miejsce w 1940 r.) wygląda dziś raczej na zimnowojenną szopkę, mającą na celu zdobycie głosów imigrantów ze wschodniej Europy, zamieszkujących USA. Bo gdy naprawdę nadszedł czas wyrażenia dla nich poparcia, słychać tylko: „dlaczego małym częściom wielkiego narodu mamy pozwalać, by ogłosiły niepodległość wbrew «demokratycznej woli» całego narodu?”. Nie tylko chłodne nastawienie Busha i całego establishmentu wobec narodów nadbałtyckich, ale również dająca się wyczuć ulga na wieść, że Gorbi wysłał wojska do Azerbejdżanu (rzekomo by ukrócić walki między Azerami i Ormianami) dowodzą, że chodzi tu o coś dużo ważniejszego niż pomoc Gorbiemu w walce z partyjnym betonem.

W istocie amerykańscy globalni demokraci wystraszyli się, że Gorbi może nie wypełnić zadania, jakie stoi przed wielkim, modernizującym się narodem, tzn. może nie użyć siły, by ukrócić spory między narodami zamieszkującymi rozmaite regiony ZSRR. Innymi słowy – że nie będzie w stanie zachować jednolitej, „imperialnej” władzy nad narodami, które znajdują się na jego peryferiach.

Rozstrzygający według globalnych demokratów argument brzmi: „czyż tak właśnie nie postąpił Lincoln?”. Najświętszą z postaci amerykańskiej historiografii, co nie przypadek, jest właśnie Wielki Święty centralistycznej „demokracji” i silnego, jednolitego państwa narodowego – Abraham Lincoln. Jest to niezwykle ciekawe, ukazuje bowiem niebywałą rolę i znaczenie historii i jej mitów nawet dla tak dotkniętego amnezją narodu, jakim są USA. Wielkie znaczenie mitu Lincolna to też jeden z głównych powodów, dla którego neokonserwatyści i ich sługusi próbowali odczytać takich paleokonserwatyistów jak Mel Bradford i Tom Fleming, jako zbyt krytycznych wobec „uczciwego Abe’a”.

Czyż nie jest prawdą, że Lincoln w imię świętej „Unii” użył siły na tak masową skalę, by uniemożliwić Południu secesję? Oczywiście, że tak – dzięki przemocy i masowemu mordowaniu Lincoln zmiażdżył Południe, unieważniając tym samym prawo do secesji (opierające się na bardzo przekonującym argumente, że skoro odrębne stany dobrowolnie weszły w skład Unii, to powinny mieć z niej również wyjść).

Jednak to nie wszystko: Lincoln stworzył monstrualne, jednolite państwo narodowe, w którym już nigdy nie odzyskano osobistych i lokalnych swobód. Na dowód tego trzeba wymienić chociażby triumf wszechwładnego sądownictwa federalnego, Sądu Najwyższego oraz armii narodowej; wtrącanie bez procesów do więzień dysydentów, sprzeciwiających się wojnie, a tym samym unieważnienie dawnego, anglosaskiego i libertariańskiego prawa habeas corpus; narzucenie prawa wojskowego; zawieszenie wolności prasy, ustanowienie niemalże na stałe poboru do wojska; wprowadzenie podatku dochodowego oraz „świętoszkowego” podatku od „grzesznego” alkoholu i tytoniu, zapoczątkowanie skorumpowanego oraz monopolizującego rynek „partnerstwa rządu z wielkim biznesem”, które skończyło się przydzieleniem ogromnych subsydiów na rzecz przemysłu kolejowego; wprowadzenie specjalnych cel protekcyjnych; napędzenie inflacji przez porzucenie standardu złota i ustanowienie papierowego pieniądza oraz nacjonalizację systemu bankowego ustawą o bankach z lat 1863-64.

Szczególnie zastanawiające jest to, że wielu spośród konserwatywnych obrońców wolnej Litwy i innych krajów nadbałtyckich pragnie ocalić mit Lincolna i uzasadnić ogólną wrogość USA wobec secesji. Stoją równocześnie na stanowisku, że skoro kraje nadbałtyckie zostały siłą wcielone przez Stalina w 1940 r., to nie powinno się ich przynajmniej za secesję karać i represjonować, jak postąpił z Południem Lincoln!

Pomińmy fakt, że przecież większość spośród włączonych do Związku Radzieckiego państw została przyłączona w pierwszych dniach rewolucji bolszewickiej również pod przymusem (choć w sposób nieco bardziej „cywilizowany”). Wystarczy wspomnieć tutaj Ukrainę, Armenię czy Gruzję. Przyjrzyjmy się natomiast samej istocie demokratycznej teorii politycznej, z którą zgadza się większość „minarchistycznie” nastawionych libertarian. Według tej teorii rząd, niezależnie od tego, czy posiada szerokie uprawnienia, tzn. niezależnie od tego, czy jest rządem socjal-demokratycznym, czy też rządem ograniczonym do policji, obronności i sądownictwa, powinien być wybierany w wolnych wyborach w oparciu o zasadę większości. Ruchy separatystyczne oskarża się o naruszanie tej demokratycznej zasady woli większości. Pojawia się jednak podstawowe pytanie: zamieszkujących jaki obszar ludzi ma objąć zasada demokratycznych wyborów?

Przedstawmy problem w inny sposób: minarchistyczna (demokratyczna) teoria mówi, że państwo powinno posiadać monopol na użycie siły na swoim terytorium. Dla dobra dyskusji zgódźmy się z tym. Można wtedy jednak zadać zasadnicze, choć przez nikogo wcześniej

nie stawiane pytanie (na które zresztą nikt nie udzielił dotychczas odpowiedzi): co powinno być tym terytorium? Niemal powszechną odpowiedzią są, parafrazując ulubiony zwrot Ayn Rand, słowa: „A bo ja wiem! I co mnie to obchodzi!” („Blankout”!). Najczęściej właśnie to słyszą secesjoniści w odpowiedzi na podnoszone przez nich kwestie. Jak dotąd, zarówno pod rządami Lincolna, jak i, w nieco mniejszym stopniu, pod rządami Gorbiego, odpowiedzią na ich roszczenia jest przemoc, niepodlegająca dyskusji pseudoargumentacja w rodzaju: „racja stoi po stronie silniejszego” oraz umocnienie przymusowego, jednolitego państwa narodowego. Skutek takiego myślenia i samej logiki minarchistycznej teorii politycznej jest równie przerażający, co łatwy do przewidzenia: jednolity, „demokratyczny” rząd światowy. Argument, który wysuwają minarchiści wobec anarchokapitalistów, mówi, że musi istnieć jedna, nadrzędna agenda rządowa, posiadająca monopol rozstrzygania w sposób ostateczny sporów za pomocą siły i przymusu. Dobrze – wyciągnijmy więc ostateczne wnioski z ww. argumentu i postawmy pytanie: czy państwo narodowe nie powinno zostać zastąpione przez rząd, którego monopol użycia siły rozciągałby się na cały świat? Czy zastąpienie takiego rządu rządem światowym nie ukróciłoby raz na zawsze „światowej anarchii”?

Minarchistyczni libertarianie wraz z konserwatystami wzdrygają się na samą myśl o rządzie światowym z oczywistego powodu: całkiem słusznie obawiają się, że opodatkowanie i uspołecznienie całego świata przez jeden rząd ograniczy wolność i własność Amerykanów. Niestety, wpadli już w sidła logiki swojego własnego rozumowania. Z drugiej strony lewicowi liberałowie z radością zaakceptują taką argumentację właśnie z powodu przewidywanego rezultatu. Jednakże nawet establishment demokratyczny waha się, czy poprzeć pomysł powstania jednego, światowego państwa demokratycznego – przynajmniej do momentu, gdy zostanie im zapewniona kontrola nad tym gigantycznym tworem.

Można zadać pytanie: czy jeśli odrzucimy swoją wymarzoną koncepcję rządu światowego, to globalno-demokratyczny establishment poradzi sobie z określeniem, gdzie powinny znajdować się granice państw? Można usankcjonować obecny stan rzeczy, twierdząc, że sprawiedliwe są granice w obecnym kształcie. Utrzymywanie status quo, czyli aktualnego położenia granic między państwami, było podstawą polityki zagranicznej każdej administracji USA od czasów Woodrowa Wilsona, Ligi Narodów oraz jej sukcesora – Organizacji Narodów Zjednoczonych. Taka polityka opiera się na fatalnym, niespójnym pojęciu „zbiorowego bezpieczeństwa przed agresją”. Właśnie ta doktryna legła u podstaw interwencji USA podczas obu wojen światowych i podczas wojny



koreańskiej: najpierw definiujemy (często niewłaściwie), które państwo jest „państwem-agresorem”, a następnie usiłujemy zjednoczyć wszystkie państwa narodowe, by razem pokonały, wyparły i ukarały agresora.

Za teoretyczną analogię dla wspólnego przeciwstawienia się „agresji” ma służyć sposób, w jaki zwalczają się przestępstwa. Osoba A napada na osobę B, bądź ją morduje; lokalna policja, wyznaczona do obrony praw danej jednostki i jej własności, rzuca się na pomoc B i podejmuje wszelkie działania mające na celu zatrzymanie i ukaranie A. W podobny sposób wszystkie narody „miłujące pokój” powinny zjednoczyć się przeciw „agresywnym” państwom. Można teraz zrozumieć zdumiewający upór, z jakim Harry Truman określał wojnę przeciw Korei Północnej „akcją policyjną”.

Główna wada takiej analogii polega na tym, że nie jesteśmy w stanie obiektywnie i bez cienia wątpliwości wskazać państwa-agresora. Gdy A dokonuje napaści na B, bądź morduje B, wszyscy zgadzamy się, że A popełnia zło i że rzeczywiście dokonuje aktu agresji wymierzonej w osobę B oraz jej prawo własności. Wyobraźmy sobie jednak taką sytuację: państwo A dokonuje aktu agresji, naruszając granice państwa B. Swoje działania usprawiedliwia twierdzeniem, że obecna granica jest niesprawiedliwa, ponieważ jej kształt jest skutkiem mającej miejsce kilka lat wcześniej agresji państwa B na państwo A. Jak możemy rozsądzić a priori, czy państwo A jest agresorem i czy przedstawiana przez nie argumentacja jest nieprawdziwa? Kto powiedział i na jakiej podstawie, że państwo B posiada takie samo moralne prawo wobec wszystkiego, co znajduje się na jego terytorium, jakie posiada osoba B wobec swojego życia i własności? I dlaczego te dwie agresje mamy traktować jako równoważne, skoro nawet nasi globalni demokraci nie chcą podać jakiegokolwiek zasady czy jakiegokolwiek kryterium, według którego moglibyśmy je porównać? Jedyne co da się od nich usłyszeć to niesatysfakcjonujące nikogo i absurdalne wezwanie do utworzenia jednego, globalnego państwa oraz ślepego trzymania się status quo.

### **Sprawiedliwe granice a samostanowienie narodów**

Jaka jest zatem odpowiedź na dręczące nas pytania? Jakie granice między państwami można uznać za sprawiedliwe? Po pierwsze, należy zaznaczyć, że nie istnieją sprawiedliwe granice per se; prawdziwa sprawiedliwość opiera się wyłącznie na pojęciu dobrowolnej zgody oraz na prawie własności prywatnej. Jeśli pięćdziesiąt osób dobrowolnie postanowi utworzyć organizację użyteczności publicznej (common services) bądź agencję ochronną, której zadaniem będzie obrona ich nietykalności osobistej i ich własności na określonym terenie, to gra-

nice wyznaczone obszarem działania takiej agencji są sprawiedliwe, ponieważ opierają się na prawach własności jej członków.

Granice między państwami są sprawiedliwe tylko, jeśli są dobrowolnie fundowane przez ich członków (obywateli). Sprawiedliwe granice są czymś drugorzędym i pochodnym wobec praw jednostki. Jakim więc sposobem istniejące granice międzypaństwowe mają być sprawiedliwe, skoro w mniejszym lub większym stopniu opierają się na przymusowym wywłaszczeniu własności prywatnej, bądź na połączeniu wywłaszczenia z działaniami instytucji, powstałych w oparciu o dobrowolną zgodę ich członków! Zachowanie i pielęgnowanie prawa do secesji, prawa rozmaitych regionów, grup i narodowości do odłączenia się od większego podmiotu, do utworzenia swojego niezależnego państwa, jest jedynym dobrym sposobem na utrzymanie uprawnionych i sprawiedliwych, w takim stopniu, w jakim to tylko jest możliwe, granic między państwami. Tylko wyraźne utrzymanie prawa do secesji może dać pewność, że narodowe samostanowienie będzie czymś więcej, niż tylko pustym pojęciem, błagą i mistyfikacją.

Czy zatem podjęta przez Wilsona próba narzucenia narodom ich losu i nakreślenia na nowo mapy Europy była katastrofą? Była! I to jaką! I nie dało się uniknąć tej klęski, nawet jeśli byśmy założyli (błędnie) dobrą wolę ze strony Wilsona i jego sojuszników i zapomnieli, że hasło narodowego samostanowienia było maską, za którą skrywały się ambicje imperialne. Z samej przecież natury rzeczy wynika, że to, czy i w jaki sposób narody pokierują swym losem, nie może zostać narzucone przez obce państwo – czy to Stany Zjednoczone, czy jakąś światową ligę.

O tym, czy naród rzeczywiście sam o sobie decyduje, możemy mówić wyłącznie wtedy, gdy wykluczona zostanie odgórnie narzucona, przymusowa władza, a prawo użycia siły zostanie scedowane z większego podmiotu politycznego na podmioty mniejsze, dalece bardziej naturalne, a przede wszystkim dobrowolnie związane. Krótko mówiąc, władza musi być przekazana z góry na dół. Narzucenie narodom z zewnątrz swojej woli skutkuje jeszcze większym przymusem i jeszcze bardziej pogarsza sytuację. Co więcej, zaangażowanie się USA, czy innych rządów w każdy konflikt etniczny, niezależnie w którym zakątku świata wybucha, zwiększa raczej niż zmniejsza sumę istniejącego przymusu, zaognia konflikt, potęguje wojnę i prowadzi do jeszcze większej liczby masowych mordów. Taka polityka, jak ujął to izolacjonistyczny myśliciel Charles A. Beard, wciąga USA w „wieczną wojnę o wieczny pokój”.

Powróćmy do teorii politycznej – skoro państwo narodowe posiada monopol na użycie siły na jego własnym

terenie, to jedyną rzeczą, której nie wolno mu robić, jest stosowanie przemocy poza tym terytorium, tj. tam, gdzie nie posiada owego monopolu. Gdyby państwa nie stosowały się do tego obostrzenia, względnie spokojny stan „międzynarodowej anarchii” (gdzie każde państwo ogranicza swoją władzę do swoich granic) zostałby zastąpiony międzynarodowym, Hobbesowskim stanem wojny wszystkich (rządów) ze wszystkimi. Państwa narodowe więc:

a) nigdy nie powinny stosować siły poza własnym terytorium („izolacjonizm” w polityce zagranicznej) oraz

b) powinny zachować prawo secesji dla wszystkich grup, czy podmiotów politycznych, które znajdują się na jego terenie.

Prawo odłączenia, stosowane z całą konsekwencją, oznacza również prawo jednej, albo kilku gmin do separacji od jego własnego państwa, a nawet, jak stwierdził Ludwig von Mises w *Nation, State and Economy*, prawo do secesji, jakie posiada każdy z nas.

Jeśli próbę narzucania narodom ich losu z zewnątrz uznamy za pierwszy błąd, który popełnił Wilson, to drugim było zupełne partactwo, z jakim wyrysowano na nowo mapę Europy. Wątpię, by można było to zrobić gorzej – lepszą robotę wykonałoby władcy zebrani w Wersalu, gdyby przyszło im tworzyć nowe państwa, przypinając z zasłoniętymi oczami szpilki na mapie Europy.

Zamiast dać wszystkim narodom równe szanse w kierowaniu ich własnym losem, trzy z nich oficjalnie mianowano „dobrymi narodami” (Polaków, Czechów i Serbów) i pozwolono, by rządziły innymi, które nie bez powodu, na długie lata znienawidziły swoich silniejszych sąsiadów. Tym trzem narodom zapewniono nie tylko niepodległość – granice tych państw zostały tak rozdęte, by „dobre narody” zdominowały „złe narody” (a w najlepszym przypadku „narody, które nikogo nie obchodzą”): Polacy rządzili Niemcami, Litwinami (w Wilnie), Białorusinami i Ukraińcami<sup>1</sup>; Czesi zdominowali Słowaków i Ukraińców (nazwanych Rusinami Zakarpaccimi), a Serbowie styranizowali Chorwatów, Słoweńców, Albańczyków, Węgrów i Macedończyków, dając początek potworkowi zwanemu „Jugosławia” (też w trakcie rozpadu).

<sup>1</sup> Na mocy postanowień wersalskich, Wilno - wraz z częścią powiatu sejneńskiego - miało się stać częścią Polski. Tak wyrysowana linia demarkacyjna (tzw. linia Focha) pokrywała się mniej więcej z podziałami etnicznymi, ale zarówno Polacy, jak i Litwini (którzy rościli sobie pretensje do całej Suwalszczyzny) uważali ją za niesprawiedliwą. W końcu jednak, w 1920 r. Wilno zostało zajęte podstępem przez gen. Lucjana Żeligowskiego, a po dwóch latach włączone do Polski - przyp. red.

Poza tym Rumunia zyskała bardzo wiele kosztem Węgrów i Bułgarów. Te trzy (czy cztery, jeśli dodamy Rumunię) obdarowane hojniej niż inne państwa dostały od USA i zachodnich sojuszników absurdalne i nierealne do wykonania zadanie – na trwale zahamować rozwój wielkich, sąsiadujących ze sobą sił „rewizjonistycznych” i głównych przegranych Wersalu – Niemcy i Rosję. Próba realizacji tego niewykonalnego zadania doprowadziła bezpośrednio do wybuchu II wojny światowej.

Krótko mówiąc, narodowe samostanowienie powinno być zasadą moralną i stanowić drogowskaz dla wszystkich narodów; nie powinno być zaś narzucane z zewnątrz przez opierający się na stosowaniu przymusu rząd.

### Podział i Referendum

Jednym z praktycznych efektów wprowadzenia w życie prawa do secesji może być referendum, w którym mieszkańcy danej wioski, czy gminy zdecydują, czy chcą pozostać częścią istniejącego państwa, czy też chcą dokonać secesji i dołączyć do innego. Ludność zamieszkująca sporny teren Górnego Karabachu bez wątpienia zagłosowałaby za secesją – odłączeniem od Azerbejdżanu i przyłączeniem do Armenii. Co jednak począć z faktem, że Górny Karabach nie graniczy z Armenią, ponieważ istnieje między nimi kawałek ziemi zamieszkałej przez Azerów? Śmiało możemy założyć, że ewentualna dobra wola obu stron (której oczywiście w tym wypadku nie ma) zaowocowałaby powstaniem wolnej strefy, bądź zagwarantowałaby swobodne przejście przez nią. Dobrym pomysłem byłoby też utworzenie korytarza powietrznego, a szczególnie korytarza drogowego, który okazał się już przydatny w przeszłości – wystarczy wspomnieć korytarz drogowy utworzony podczas kryzysu berlińskiego.

Referenda mające rozstrzygać o przynależności państwowej określonego terytorium były ogłaszane z przerwami po I wojnie światowej; najbardziej znany przykład to oddzielenie się Irlandii Północnej od reszty kraju. Niestety, brytyjski rząd nigdy nie spełnił jasno wyrażonej wcześniej obietnicy rozpisania drugiego referendum. Wskutek czego ogromna, północna część terytorium zamieszkałego przez katolików została siłą włączona do protestanckiego państwa. Nieuczciwość i niesprawiedliwość, jaka spotkała katolicką mniejszość, która bez wątpienia zagłosowałaby za przyłączeniem do południowej części kraju, były przyczyną tragicznych wydarzeń – przemocy i nieustannego przelewu krwi – jakie dotknęły Irlandię Północną. Prawdziwy podział oparty o uczciwe referendum spowodowałby bez wątpienia odłączenie od Irlandii Północnej takich terenów jak Tyrone i Fermanagh (łącznie z miastem Derry) oraz

South Down. Irlandia Północna została by w zasadzie zredukowana do pasa ziemi wokół Belfastu oraz hrabstwa Antrim. Jedyną liczącą się mniejszością pozostała by mniejszość katolicka, zamieszkująca katolickie dzielnice Belfastu.

Opisanej powyżej koncepcji referendum często stawia się zarzut, że nierzadko gminy, czy wioski są wymieszane pod względem narodowościowym i nie sposób jednoznacznie stwierdzić, które z nich powinny znaleźć się w granicach jednego, a które drugiego państwa. Na spornym terenie Transylwanii węgierskie i rumuńskie wioski są wielonarodowe. Zgoda, ale przecież nikt nigdy nie powiedział, że takie referenda są lekarstwem na wszelkie bóle. Jednak właśnie dzięki referendum zostanie zwiększony zakres spraw, które rozstrzyga się przez dobrowolną zgodę tych, których te problemy dotyczą bezpośrednio, a liczba społecznych i narodowościowych konfliktów zminimalizowana – więcej nie można w obecnej chwili osiągnąć. (Na marginesie trzeba dodać, że Transylwania, a szczególnie jej północna część, jest w przeważającej części węgierska i krzywda, jaka została wyrządzona Węgrom postanowieniami wersalskimi powinna zostać naprawiona).

Często zarzuca się referendum, że przysparzają tylko dodatkowych kłopotów. Azerskie roszczenia wobec Górnego Karabachu opierają się na tezie, że chociaż Ormianie są dominującą liczebnie narodowością, to region ten od wieków stanowił centrum kultury Azerskiej. Taki „historyczny” argument wyżej stawia duchy przeszłości nad losem żywych ludzi i tym samym możemy go śmiało odrzucić. Należy jednak zagwarantować Azerom, by miejsca szczególnie dla nich ważne pozostały pod ich opieką.

Jednakże dużo kłopotliwsza jest chociażby obecna sytuacja w Estonii, czy na Łotwie, gdzie Sowieci usiłovali otwarcie zniszczyć miejscowe kultury i zgnieść w zarodku świadomość narodową. Próbowali tego dokonać przesiadając po II wojnie światowej dużą liczbę Rosjan, którzy mieli podjąć pracę w tamtejszych fabrykach. Na Łotwie rosyjska mniejszość wynosi teraz tylko niecałe 50% ogólnej liczby obywateli. Uważam, że fakt, iż migracja miała miejsce stosunkowo niedawno, a jej natura była polityczna, spowodował, że rodowici obywatele zachowali świadomość narodową. Libertarianie uważają, że każdy posiada dane z natury prawo samoposiadania i prawo własności; nie istnieje jednak coś takiego, jak naturalne „prawo” głosowania. W przypadku Łotwy, czy Estonii miałby więc sens zakaz głosowania dla mieszkających tam Rosjan i potraktowanie ich jako gości albo imigrantów, przebywających na czas nieokreślony i nie posiadających tym samym przywileju głosowania, jaki posiadają rdzenni obywatele tych państw.

### Grupa czwarta: libertarianie

Ogólnie rzecz biorąc libertarianie sprzeciwiają się nacjonalizmowi w takim samym stopniu jak globalni demokraci, jednak z zupełnie innych powodów. Libertarianie są w zasadzie prostymi i „prymitywnymi” indywidualistami. Typowe stanowisko libertarianina można przedstawić następująco:

„Nie istnieje naród; istnieją tylko jednostki. Naród to kolektywne, a tym samym szkodliwe pojęcie. Pojęcie „narodowego samostanowienia” jest błędne, ponieważ wyłącznie jednostki posiadają „ja”. Skoro zarówno „naród”, jak i „państwo” są pojęciami kolektywnymi, to obydwa są równie groźne i należy je zwalczać”.

Możemy szybko odrzucić zarzuty natury lingwistycznej. Tak, oczywiście nie istnieje naród „jako taki” i używamy pojęcia „samookreślenia” jako metafory, nikt jednak nie uważa, że naród jest rzeczywiście istniejącym podmiotem i posiada swoje „ja”.

Wracając do nieco poważniejszych rozważań, musimy przestrzec przed wpadaniem w nihilistyczną pułapkę. Chociaż jest prawdą, że istnieją tylko jednostki, nie istnieją one w izolacji i nie są zamkniętymi w sobie atomami. Etycyści tradycyjnie zarzucają libertarianom i indywidualistom, że są „atomistami”. Trudno o bardziej chybione oskarżenie. Jednostki stanowią jedyną realną rzeczywistość, jednak wpływają na siebie, a oddziaływały zarówno w przeszłości, jak i dzisiaj; wszystkie jednostki wychowały się ponadto w podobnej kulturze i posługiwały się tym samym językiem (z czego nie wynika, że jako dorośli nie będą mogły się zbuntować, rzucić wyzwania kulturze, w której zostały wychowane, a nawet wymienić tę kulturę na inną).

Podczas gdy państwo jest błędnym, przymusowym i kolektywistycznym pojęciem, „naród” właściwie powstaje dobrowolnie; odnosi się nie do państwa, ale do całej sieci kultury, wartości, tradycji, religii i języka, w której wychowuje się jednostka. Trudno o większy banał, jednak wielu libertarian najwyraźniej przeoczyło to, co wydaje się oczywiste. Nie powinniśmy też nigdy zapominać o analizie wielkiego myśliciela libertariańskiego, Randolpha Bourne’a, który opisał różnicę między państwem (przymusowym aparatem biurokratycznym i politycznym), a narodem (ziemią, kulturą, terenem, ludźmi) oraz jego niezwykle istotnym stwierdzeniu, że można być prawdziwym patriotą i równocześnie przeciwstawiać się państwu.

Co więcej, libertarianin, szczególnie anarchokapitalista, będzie stał na stanowisku, że to, gdzie znajdują się granice, nie ma żadnego znaczenia, skoro w doskonałym świecie wszystkie instytucje i tereny ziemskie będą w rękach prywatnych i granice jako takie nie będą istnieć. Dobrze, jednak w dzisiejszym, realnym świecie,

pojawiają się problemy: w jakim języku powinny obradować sądy? W jakim języku powinny być znaki na państwowym ulicach? W jakim języku powinny odbywać się lekcje w państwowych szkołach? W prawdziwym świecie kwestie narodowe są niezwykle istotne i rodzą dyskusję, w której również libertarianie powinni zabrać głos.

Na koniec dodajmy, że chociaż nacjonalizm ma swoją złą stronę i może przynieść wiele złego naszej wolności, to posiada przemożną siłę i obowiązkiem libertarian jest wydobyć jego dobre strony. Gdybyśmy byli na przykład obywatelami Jugosławii, powinniśmy agitować na rzecz prawa do secesji od tego rozdętego ponad miarę i

całkowicie nieudanego państwa oraz wspierać chorwackie, czy serbskie ruchy niepodległościowe, a przeciwstawiać się dążeniom serbskiego populisty Slobodana Miloševića, który pragnie utrzymać serbską dominację nad Albańczykami w Kosowie, czy nad Węgry, zamieszkującymi Wojwodinę. Libertarianie powinni więc przeciwstawiać się koncepcji Wielkiej Serbii.

Należy rozróżnić wyzwolenie narodu (które jest czymś dobrym) od narodowego „imperializmu”, skierowanego przeciw innym (które jest godne potępienia). Gdy tylko przewyciężymy upraszczające rozumienie indywidualizmu, różnica ta stanie się łatwa do uchwycenia.

## Problemy

# Mikrokredyt czy makromanipulacja?

*Juliusz Jabłecki*

**Ktoś kiedyś zauważył z przekąsem, że nie ma lepszego sposobu na skłócenie ludzi niż przyznawanie pokojowej nagrody Nobla. I choć także ogłoszeniu zeszłorocznych laureatów – Muhammada Yunusa i jego Grameen Banku – towarzyszył szept zdziwienia, to jednak zdecydowanie nikał on wobec wypowiedzianych zgodnym głosem bezkrytycznych wyrazów uznania dla bankiera ubogich.**

Yunusa zdają się uwielbiać wszyscy – i lewica, i prawica. W Polsce z jednej strony chwalił go słynący z liberalnego nastawienia prof. Jan Winiecki, z drugiej zaś jeden z ojców ideowych polskiej socjaldemokracji, prof. Tadeusz Kowalik. Ta rzadko spotykana zgodność bierze się z przeświadczenia, że Yunusowi udało się wynaleźć cudowny sposób na wyprowadzenie z biedy mieszkańców swojego ojczystego Bangladeszu, a w przyszłości także i całego Trzeciego Świata. Sposób ten sprowadza się do udzielania tzw. mikrokredytów, czyli pożyczek na niewielkie sumy kilkudziesięciu dolarów, ludziom bez żadnego zabezpieczenia czy historii kredytowej. „Kapitał nie musi służyć wyłącznie bogatym” – powtarza często Yunus i dodaje, że „dostęp do pieniędzy powinien być prawem człowieka bez względu na jego sytuację materialną”. W tym nieco naiwnym przekonaniu nie ma jeszcze nic nowego – od lat postulują to różne ruchy lewicowe – rzecz w tym, że bankier ubogich rzekomo wprowadził je w życie, i to z dużym powodzeniem.

Według oficjalnych danych Grameen Bank ma ponad 6,5 mln klientów – w 97 proc. są nimi kobiety – i przez cały zeszły rok udało mu się udzielić kredytów na ponad 700 mln dolarów. Od formalnego założenia banku w 1983 r. pożyczono w sumie 5,72 mld dolarów, z których blisko 99 proc. zostało spłaconych. Bank nie wymaga od swych dłużników podpisania żadnych dokumentów ani nie podaje ich do sądu w przypadku niespłacenia pożyczki. Jest instytucją w zasadzie prywatną, gdyż 94 proc. jego udziałów posiadają klienci (akcjami tymi jednak nie mogą handlować), a tylko pozostałe 6 znajduje się w rękach państwa. Najważniejsze zaś, że w każdym roku swej działalności (oprócz pechowych lat 1983, 1991 i 1992) Grameen Bank przynosił dochody. Aż nie chce się wierzyć, że cały ten doskonały biznes opiera się na pożyczaniu kilku dolarów bangladeskim wieśniakom. Rzeczywiście, na usta ciśnie się proste pytanie: skoro w taki społecznie pożyteczny sposób można zarobić tak wielkie pieniądze, to dlaczego nie wpadł na to jak dotąd żaden czysto komercyjny bank?

### Mikronieścistości

Niestety, jak w swoim artykule z 2001 r. przekonująco argumentowali dziennikarze *Wall Street Journal* Daniel Pearl i Michael Phillips, bankowi najuboższych wcale nie wiedzie się tak bajecznie, a swoją doskonałą opinię zawdzięcza on głównie prozelityzmowi i charyzmie założyciela, Muhammada Yunusa. Przede wszystkim, według Pearla i Philipsa, poziom spłacalności kredytów jest zdecydowanie zawyżony, gdyż Grameen Bank przyjął określać pożyczkę jako zalegającą dopiero dwa lata po upływie terminu spłaty. Nierzadko też zamienia po prostu stare, niespłacone kredyty na nowe i księguje je jako bieżące. Najczęściej reklamą mikrokredytu są historie kobiet, które uzyskawszy drobną pożyczkę od banku, zainwestowały pieniądze we własne przedsiębiorstwo – mały zakład krawiecki czy sklepik. Tymczasem, jak piszą dziennikarze *Wall Street Journal*, co najmniej 25 proc. pożyczanych pieniędzy jest przeznaczanych na natychmiastową konsumpcję, a modelowym przykładem kredytobiorcy nie jest wcale przedsiębiorczy lecz pozbawiony środków kapitalista, tylko Belatun Begum, mieszkanka jednej z wsi w rejonie miasta Tangail (Bangladesz), która wzięła pożyczkę w trzech ratach na 30 000 taka (około 525 dolarów) rzekomo po to, aby kupić krowę, jednakże część pieniędzy oddała swojemu mężowi, a resztę wykorzystała na remont domu.

Podobnie sceptycznie wypowiada się o przedsięwzięciu Yunusa Sudhirendar Sharma, były pracownik Banku Światowego, a obecnie analityk rozwoju związany z Fundacją Ekologiczną w Deli. W jednym z wywiadów stwierdza wprost, że strategia Grameen Banku nie doprowadziła wcale do zmniejszenia poziomu ubóstwa, a tylko wpędziła wielu ludzi w pułapkę zadłużenia. Rozbudowana oferta pożyczkowa i coraz większa konkurencja sprawiają, że – jak wykazały badania we wspomnianym już Tangail – od 23 do 40 proc. rodzin jest zadłużona w więcej niż jednym banku i bardzo trudno będzie im się wydobyć z tego zadłużenia. Sharma stawia też dość radykalną tezę, że kosztem rzeszy ubogich zyskują tak naprawdę ogromne organizacje pozarządowe, banki i korporacje.

Duże wątpliwości budzi także podkreślana z uporem przez Yunusa kwestia opłacalności udzielania mikro-kredytów. Według deklaracji zamieszczonych na jego stronie internetowej, począwszy od 1995 r. Grameen Bank nie przyjmuje żadnej pomocy finansowej, a zyski zawdzięcza spłacalności pożyczek. Tymczasem, jak wynika z analizy przedstawionej przez Jonathana Morducha w prestiżowym czasopiśmie fachowym *Journal of Economic Literature* (grudzień 1999, s.1569-1614), średni zysk Graamen Banku w latach 1985-1996 wyniósł -17 proc. i gdyby bank był prawdziwie rynkową

instytucją, nie byłby w stanie utrzymać się samodzielnie bez znacznego podniesienia oprocentowania kredytów (powyżej 30%). W rzeczywistości słynny bank ubogich nie ma jednak wiele wspólnego z przedsiębiorstwem finansowanym z własnych środków. Chociaż sam bank oficjalnie nie przyjmuje dotacji, zaledwie kilka miesięcy temu fundacja Grameen dostała 1,5 mln dolarów od fundacji Billa Gatesa. Wpisuje się to zresztą w historię banku, którego kapitał założycielski przyszedł z ONZ oraz z bangladeskiej kasy państwowej. Następnie ważnym źródłem jego finansowania były amerykańskie organizacje charytatywne, z których w latach 80. i 90. otrzymał łącznie ok. 150 mln dolarów. Jednocześnie zaczął też zaciągać niskooprocentowane (2 proc.) pożyczki od rządów Norwegii, Szwecji, Kanady i Niemiec, które później lokował na dających wysoki procent lokatach w bankach komercyjnych, różnicę zatrzymując oczywiście dla siebie.

### Inkubator kolektywizmu

Oczywiście z faktu, że Grameen Bank pożyczka pieniądze ubogim i wbrew oficjalnym deklaracjom – podobnie jak wiele innych organizacji – nie zarabia na tym kroci, nie wynika jeszcze nic złego. Pewne podejrzenia może jednak budzić sposób zorganizowania całego procesu kredytowego. Grameen wymaga od swoich dłużników tylko jednego – aby wstąpili do pięciosobowych „grup nadzorczych”. Każda kolejna pożyczka jest uzależniona od spłaty poprzedniej, i to przez wszystkich członków grupy. Jeśli więc choć jedna osoba nie wywiąże się ze swoich zobowiązań wobec banku, to, chcąc otrzymać kolejne kredyty, pozostałe cztery muszą albo zmusić ją do spłaty, albo same uregulować należność.

Bank żąda też, by kredytobiorcy stosowali się do tzw. 16 Decyzji, dobrze oddających orientację ideologiczną jego szefostwa. Wśród ślubowanych „decyzji” są na przykład takie: „będziemy utrzymywać małe rodziny”, „będziemy dbać o środowisko”, „będziemy zawsze korzystać z latryn”, „nie będziemy dawać ani wymagać posagów”, „nie będziemy zaślubiać naszych dzieci”, „jeśli ktoś złamie dyscyplinę lub zasady, wszyscy udamy się do niego, aby przywrócić porządek” czy wreszcie „będziemy wspólnie brać udział we wszystkich inicjatywach społecznych”.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że istota większości z tych postanowień polega na tym, aby zaciągający pożyczkę nauczyli się myśleć kolektywistycznie i jednocześnie, by oddali bankierom kontrolę nad swoim życiem prywatnym. Lewicujący i wykształcony na Zachodzie Muhammad Yunus uznał, że głównym problemem Bangladeszu jest to, że kobiety zamiast prowadzić przedsiębiorstwa, zakładają rodziny i rodzą dzieci. Stąd

właśnie koncentracja wysiłków banku na dotarciu do kobiet (stanowią one 97 proc. klientów) i wyzwoleniu ich ze społeczno-kulturowych kajdan, np. przez potępienie instytucji posagu.

### Remedium na problemy Bangladeszu

Społeczno-gospodarcza diagnoza problemów Bangladeszu przez założyciela Grameen Banku budzi jednak liczne wątpliwości. Po pierwsze promuje kolektywistyczny sposób myślenia i gwałtownie zrywa z usankcjonowanym wielowiekową tradycją sposobem życia. Po drugie popycha ludzi do życia na kredyt zamiast do skrupulatnego oszczędzania, po trzecie zaś utrwała przekonanie, że jedyną receptą na biedę są pieniądze. Tymczasem gdyby rzeczywiście tak było, problem biedy można by zlikwidować od ręki, i to wszędzie na świecie – wystarczyłoby wydrukować dostatecznie dużo zielonych papierków.

Prawdziwe kłopoty Bangladeszu ujawnia za to indeks wolności gospodarczej, sporządzany przez amerykańską Heritage Foundation. Można się z niego dowiedzieć, że ojczyzna zesłorocznego laureata pokojowej nagrody

Nobla ma fatalny system prawny, dający podstawy do powszechnej korupcji i braku poszanowania własności prywatnej oraz że prowadzi protekcyjną politykę, utrudniającą handel zagraniczny i inwestycje. Co więcej, na szczególne utrudnienia napotykają tam małe i średnie przedsiębiorstwa, które muszą się zmagać nie tylko z biurokracją, ale także z relatywnie bardzo wysokimi podatkami (na poziomie 30 proc.).

Tak dalece posunięta etatyzacja gospodarki i niemal kompletny brak reform skazują Bangladesz na zaledwie pięcioprocentowy wzrost gospodarczy, który – choć do przyjęcia w bardziej rozwiniętych państwach – jest zdecydowanie za mały, aby zagwarantować stabilny, długookresowy rozwój gospodarczy, społeczny i polityczny. Historia uczy, że wiele krajów wzbogaciło się bez pomocy mikrokredytów, żaden jednak nie osiągnął dostatku przy tak opresyjnym systemie gospodarczym. Być może więc wysiłki znanego i szanowanego na świecie Muhammada Yunusa powinny koncentrować się raczej na zmniejszeniu interwencjonizmu, niż na wątpliwej inżynierii społecznej.

## Miscellanea

# Libertarianizm w Kaczogrodzie

Łukasz Kowalski

**Komiks pod tytułem *Zarobek na BOKu*, opublikowany w miesięczniku „Komiks Gigant”<sup>a</sup> w przystępny sposób wyjaśnia pewne mechanizmy gospodarcze i polityczne. Pokazuje też – na przykładzie miasta, w którym każdy skrawek ziemi ma prywatnego właściciela – niektóre aspekty funkcjonowania społeczeństwa wolnościowego.**

Zaczyna się zwyczajnie: „Kaczogród, dzień jak co dzień...” Zakorkowane ulice, walające się wszędzie śmieci, niedokończone roboty drogowe. Strajk części urzędników miejskich uniemożliwia budowę autostrady.

Kaczor Donald też ma kłopoty. „W spożywczym nie chcę mi sprzedawać na kredyt” – skarży się siostrzeńcom. – „A gdy wykłócałem się z ekspedientką, gliniarz wlepił mi mandat – tylko dlatego, że zaparkowałem na torach tramwajowych! Wielkie rzeczy, wszyscy tak ro-

bią!”. Donald odmówił zapłacenia mandatu – „Mamy strajk stemplarzy i zanim policja połapie się w tym bałaganie, minie kilka miesięcy! Pieniądze zostaną w mojej kieszeni!”.

1. Służby państwowe działają nieskutecznie i nie są w stanie wyegzekwować stanowionego przez siebie prawa.

2. Przepisy stanowione przez państwo są powszechnie lekceważone.

„Jakie pieniądze?” – pyta rezolutnie jeden z siostrzeńców. Faktycznie, wujek Donald jest, jak zwykle, bez grosza przy duszy. Co robić? Donald proponuje, aby udać się po pożyczkę do bogatego krewniaka, Sknerusa McKwacza. Siostrzeńcy mówią, że mogą „jedynie poprosić go o pracę”. Zastanawiają się tylko, czy wuj znajdzie dla nich chwilę, bo zarządza obecnie Wydziałem Finansowym Rady Miejskiej.

Burmistrzowi zależy na tym, aby McKwacz „zapełnił miejską kasę”. Donaldowi w zupełności by wystarczyło, gdyby Sknerus „nappełnił jego [Donald] kieszenie”. Drze więc na strzępy mandat i udaje się do ratusza. W drodze siostrzeńcy próbują przekonać Donalda, że powinien „zatroszczyć się o wspólną własność”, bo w przeciwnym razie grozi nam upadek cywilizacji. „Niech burmistrz się tym zajmie! Ja spełniam swój obowiązek: płacę podatki!” – brzmi riposta.

3. Ludzie zwykle nie troszczą się o „wspólną własność”, bo nie czują się z nią związani.

4. Człowiek płacący podatki ma tendencję do zrzucania odpowiedzialności za troskę o potrzeby innych na utrzymywanych przez siebie urzędników.

Parkując pod budynkiem ratusza Donald stwierdza: „Przecież nikt nie przestrzega przepisów, dlaczego mam być jedynym, który postępuje inaczej?”

5. Donald nie jest precyzyjny. Są ludzie, którzy przestrzegają, albo przynajmniej starają się skrupulatnie przestrzegać państwowego prawa. Jest to powszechnie kojarzone z „frajerstwem”. Większość łamie – świadomie lub nieświadomie – stanowione przez władze przepisy.

Tymczasem w ratuszu trwa awantura. Z gabinetu burmistrza wypada wściekły Sknerus i krzyczy: „Chcecie podnieść podatki! To zdrada racji kwaczanu! Tym bardziej, że tylko ja na tym stracę!”. „Co innego nam pozostało? Kaczogród potrzebuje pieniędzy, by kontynuować wiele inwestycji, a grosza brakuje nawet na najpilniejsze potrzeby!” – tłumaczy burmistrz.

6. Sknerus myli się, twierdząc, że tylko on straci na podniesieniu podatków. Koszty danin państwowych zawsze ponoszą wszyscy. McKwacz może obawiać się, że podwyżka podatków doprowadzi do podniesienia cen produkowanych

przez niego towarów. Konsumenci albo zapłacą więcej, albo zrezygnują z kupowania jego produktów. To może spowodować jego bankructwo.

7. Pierwszy odruch urzędników państwowych, którym brakuje pieniędzy, to propozycja podniesienia podatków.

„[J]eżeli podniesiecie podatki, wyprowadzę się stąd!” – grozi Sknerus. „Więc skąd mamy wytrzasnąć pieniądze?” – pyta burmistrz. „Weźcie pożyczkę!” – dobiega głos zza kadru. „Co?” „Weźcie pożyczkę, zwróćcie po jakimś czasie! To proste! Robię tak od lat!”. To Donald, który przedstawia się jako „ekspert w sprawach finansowych”, posiadacz „tytułu profesora długologii”. „To niezły pomysł” – konstatuje burmistrz – „Ale kogo poprosić o pożyczkę?”. Jak to kogo? „Kaczogrodzian!”. Jest jeden problem: „z czego zapłacimy odsetki? Miasto nie ma złamanego grosza!”. I tu rozwiązanie wydaje się dziecinnie proste: „Z przyszłych podatków!”.

„Mieszkańcy chętnie zapłacą podatki, jeśli zobaczą, że ich miasto rozkwita... A pan raz na zawsze pozbędzie się kłopotów!” – argumentuje samozwańczy „ekspert”.

8. Donald proponuje klasyczny system państwowych obligacji. Ich wartość ma się opierać wyłącznie na słowach przedstawicieli Rady Miejskiej – w rzeczywistości są to bowiem papiery bez pokrycia. Sfinansowane z pożyczek inwestycje mają zachęcić kaczogrodzian do płacenia podatków. Gdy nadejdzie termin wykupu obligacji, państwo zwróci wierzycielom pieniądze – zabierając je wcześniej tym samym wierzycielom w formie podatków. Mamy zatem do czynienia z piramidą finansową, skonstruowaną na wzór systemów przymusowych ubezpieczeń. Ich zwolennicy otwarcie mówią, że realizacja zaciągniętych przez państwo zobowiązań musi odbywać się na koszt przyszłych pokoleń. Niektórzy dodają, że system państwowych ubezpieczeń został celowo skonstruowany tak, żeby nie dało się z niego wyjść lub żeby maksymalnie to utrudnić. Donald myśli, że system zadziała jak samonakręcająca się maszyna, która będzie trwała wiecznie („pan raz na zawsze pozbędzie się kłopotów”).

Sknerus krytykuje to rozwiązanie: „Trzeba inwestować w fabryki, a nie w chodniki! To obłąd... Wznosić miasto na fundamencie długów...”. Burmistrz jest innego zdania: „Kaczogrodzianie z dumą pożyczą pieniędzy, by przyczynić się do budowania wspólnego dobra!”. „A w zamian dostaną... bezwartościowe weksle?” – pyta McKwacz.

Faktycznie. „Ludzie nie lubią weksli!” – martwi się burmistrz. – „Na dodatek musiałbym podpisać miliony tych papierków!”. Donald ma jednak w zanadru kolejny pomysł: „Jako pokwitowanie kredytodawcy otrzymają miłe dla oka bony! Bony Oszczędnościowo-Kredytowe, w skrócie BOK! Co pan na to?”. „Ekstra! Zgadza się!”.

9. Sknerus krytykuje propozycję Donalda, podając dwa argumenty. Sprzeciw wobec „wnoszenia miasta na fundamencie długów” i emisji „bezwartościowych weksli” jest jak najbardziej w duchu wolnościowym. Uwaga dotycząca sposobu inwestycji („Trzeba inwestować w fabryki, a nie w chodniki!”) to subiektywna opinia McKwacza, która może – ale nie musi – być prawdziwa. Prywatny właściciel mógłby uznać, że bardziej opłaca mu się zainwestować w chodniki niż w fabryki.

10. Donald wcale nie polemizuje ze stwierdzeniem, że BOKi są bezwartościowe. Proponuje tylko ukrycie tego faktu przez nadanie weksłom atrakcyjnej nazwy.

Rusza machina propagandowa. „To bardzo proste” – tłumaczy telewizjom Donald – „dziś pożyczycie miastu 10 dolarów, a za trzy miesiące oddamy wam 11 dolarów! A jeśli poczekacie rok, dostaniecie 14 dolarów!”. Zebrane pieniądze Rada Miejska przeznaczy na „upiększenie naszego miasta! Kaczogród stanie się perłą naszej planety, a kaczogrodzianie będą szczęśliwsi!”. „I biedniejsi!” – dodaje z przekąsem śledzący transmisję Sknerus. Obawia się, że pożyczone pieniądze zostaną roztrwonione, a prawdziwe kłopoty pojawią się, gdy trzeba będzie zwrócić długi. Siostrzeńcy przekonują: „Dzięki BOKom miasto będzie piękniejsze, mieszkańcy zaczną je kochać, szanować, zmniejszą się koszty utrzymania czystości i porządku, a wkrótce BOKi staną się zbędne!”.

11. Siostrzeńcy sądzą, że wprowadzenie obligacji opłaci się nie tylko pod względem ekonomicznym, ale uczyni kaczogrodzian bardziej odpowiedzialnymi. Przewidują nawet, że już niedługo BOKi staną się niepotrzebne – mieszkańcy będą tak bardzo szanować miasto, że zmniejszą się wydatki na utrzymanie porządku. Siostrzeńcy nie wyjaśniają, skąd Rada Miasta weźmie pieniądze na spłacenie pożyczki.

„BOKi to pewna przyszłość dla ciebie i twojej rodziny!” – mówi telewizorem jeden z siostrzeńców. „Czyżby?” – dopytuje się Sknerus, a po chwili dodaje z chytrem uśmiechem: „A może jednak...? Tak, kupię BOKi! Powinno się udać!”.

Większość kaczogrodzian, zachęcona atrakcyjnym oprocentowaniem, kupuje obligacje. W krótkim czasie całe miasto opanowuje mania. Zewsząd słychać okrzyki zachwytu: „Ach, te BOKi!”. Zainstalowany nad wejściem do ratusza głośnik oznajmia zgromadzonym tłumom: „Zapraszamy wszystkich mieszkańców Kaczogrodu! BOKi przyniosą szczęście wam i waszemu miastu!”.

Mieszkańcy inwestują w obligacje oszczędności swojego życia, a Rada Miasta natychmiast je wydaje. Wymieniane są ławki, pojawiają się nowe kosze na śmieci. „Rada mądrze wydaje nasze pieniądze!” – cieszą się kaczogrodzianie. Zadowolony jest też wandal: „Nowe książki telefoniczne! Czas najwyższy! Stare spaliłem już rok temu!”. Budka telefoniczna idzie z dymem.

„Drobnostka! Miasto jest teraz bogate! Możemy od ręki ustawić nową budkę!”. No i ustawia. „Sukces na całej linii!” – cieszy się brodzący po kostki w banknotach burmistrz. – „W kasie miejskiej nigdy nie mieliśmy tyle forsy! Tylko dzisiaj pożyczycie od ludzi kolejne 10 milionów!”. Szał. Euforia. „Zaczęliśmy prace porządkowe! Od lat nie mogliśmy sobie na to pozwolić!”. „Trzeba to rozreklamować” – entuzjazmuje się Donald.

Machina propagandowa kręci się coraz szybciej. W parku miejskim nawet drzewa lśnią czystością. „Wiesz co? Kupię następne BOKi”; „Ja też!”.

12. Entuzjazm towarzyszący pierwszym etapom „przemian” w Kaczogrodzie przypomina ten, który obserwuje się przy okazji demokratycznych wyborów. Najpierw uniesienie, toasty, pełne obietnic przemówienie lidera zwycięskiego ugrupowania, kilkanaście dni życia nadzieją, że „będzie inaczej” i „temu rządowi na pewno się uda”. Chwilę później – zderzenie z przykrymi dla zwolenników istnienia państwa realiami.

Kolejki mieszkańców ustawiają się przy bankowych okienkach: „Wycofuję wszystkie oszczędności! BOKi przynoszą większy zysk!”. „Ależ skąd!” – prostuje pracownik banku. – „Bank daje panu wyższe oprocentowanie niż BOKi!”. „To zmienia postać rzeczy! Zostawiam pieniądze w banku!”.

Kilka okienek dalej pewien kaczogrodzianin ubiega się o pożyczkę. „BOKi robią nam konkurencję” – wyjaśnia kasjer. – „Musieliśmy zwiększyć oprocentowanie oszczędności, a co za tym idzie, wzrosły także odsetki od kredytów!”. „I ja mam za to płacić?” – oburza się klient. Po chwili nieco się rozchmurza: „Podniosę ceny! Muszę wyjść na swoje!”.

13. Koszty funkcjonowania państwa zawsze ponoszą wszyscy. Osoby ponoszące teoretycznie



większe obciążenia przerzucają całość lub część kosztów na swoich klientów.

Ceny idą w górę. „Koszt budowy nowego mostu na peryferiach miasta będzie wyższy niż przewidywaliśmy, panie burmistrzu! Nasi kooperanci podwoili ceny!”. „Ładne rzeczy!” – niepokoi się burmistrz. Kaczogrodzianie kupują coraz mniej BOKów, bo banki proponują lepsze oprocentowanie. Burmistrz znajduje się w kropce: „Nie możemy przerwać robót! W grę wchodzi honor miasta i... moja następna kadencja!”. Co robić? „Profesor długologii” Donald zna receptę: „Zwiększyć oprocentowanie BOKów!”. „Tak! Wygramy tę batalię!” – stwierdza pewny siebie burmistrz.

14. Gdy piramida finansowa zaczyna się chwiać, jedyną metodą ratunku jest składanie coraz bardziej nierealnych obietnic w nadziei, że znajdą się osoby gotowe utrzymywać bankrutującą strukturę jeszcze przez kilka chwil. Donald proponuje właśnie coś takiego – spłacanie długów przez zaciąganie kolejnych, jeszcze wyżej oprocentowanych. Ma nadzieję na to, że znajdzie jeszcze trochę uczestników piramidy, których wkład pozwoli kontynuować eksperyment przez pewien czas.

15. Burmistrz traktuje kwestię BOKów w kategoriach „batalii”, która należy „wygrać”. Pożyczone miastu przez mieszkańców pieniądze zdają się mieć dla niego drugorzędne znaczenie. Burmistrza czeka ciężka walka o „honor” i „następną kadencję”. Trzeba walczyć. Socjalizm zatem bohatercko walczy z problemami nieznanymi w żadnym innym ustroju i wygląda na to, że z czasem walka zaostrzy się.

Oprocentowanie BOKów idzie w górę. Kaczogrodzianie sięgają do „rezerw strategicznych” i kupują kolejne serie obligacji. Wydaje się, że kryzys został zażegnany.

„Zebraliśmy następne dwanaście miliardów! Możemy zbudować tyle mostów, ile dusza zapragnie!” – cieszy się Donald. „Wasz dług wobec kaczogrodzian wzrósł już do 100 miliardów!” – przypominają siostrzeńcy. Na domiar złego w ratuszu pojawia się reprezentant stemplarzy miejskich, którzy grożą strajkiem, jeśli nie dostaną „podwyżki, którą wynegocjowali przed laty”. Co teraz? „Dajmy im tę podwyżkę” – wyrokuje Donald. – „Chyba nie chce pan drzeć kotów o parę groszy?”. Ucieszony stemplarz wybiega z gabinetu burmistrza. Donald poucza: „Oto, jak należy łagodzić nastroje społeczne!”. Zachęceni sukcesem stemplarzy, kolejni urzędnicy państwowi zgłaszają się po podwyżkę. Donald uspokaja: „Wszyscy otrzymacie dużą podwyżkę! Nikomu

nie odmówimy dostępu do pieniędzy, które wypełniają miejską kasę! Wracajcie do pracy i nie martwcie się!”. Usatysfakcjonowani tą obietnicą urzędnicy opuszczają ratusz.

„Przecież dla wszystkich nie wystarczy!” – mówi burmistrz. Donald tłumaczy: „Wystarczy, wystarczy! Jeżeli urzędnicy miejscy dostaną podwyżkę, będą mieli więcej pieniędzy na... zakup BOKów!”.

16. Darzenie zaufaniem instytucji państwowych jest nieroztropne. Rada Miejska obiecała pewnej grupie pracowników podwyżkę „przed laty”. Nie wywiązała się z danej obietnicy. Na fali entuzjazmu Donald obiecuje wszystkim podwyżki. Żadne racjonalne przesłanki nie wskazują, żeby udało mu się zrealizować tę zapowiedź. Rada Miejska może liczyć jedynie na to, że ci, którym obiecano większe pensje, kupią kolejne obligacje i w ten sposób sami sfinansują podwyżki.

17. Władze państwowe niekiedy ulegają żądaniom pracowników, którzy grożą strajkiem. W ten sposób dają im legitymację do kwestionowania podpisanych wcześniej kontraktów. Jest to typowy przejaw „logiki” socjalistycznej: państwo nie dotrzymuje złożonych obietnic, ale innym też pozwala ich nie dotrzymywać.

Rada Miejska postanawia zbudować nowy ratusz. „Dwanaście milionów! Czy myśmy trochę nie przesadzili?”. Donald wyjaśnia: „Gdzieżby! Wczoraj mieszkańcy pożyczili nam 20 milionów! Dzięki nowemu ratuszowi zaufanie do Rady wzrośnie! To bardzo ważne, skoro liczymy na kolejne pożyczki!”.

18. Często słyhać zdanie, że „nowoczesna dzielnica” nie może obyć się bez eleganckiego, wyłożonego marmurem ratusza, który ma podkreślać jej prestiż. Niemal nigdy nie pada pytanie o to, czy każdy ze składających się na budowę nowej siedziby podatników rzeczywiście tego sobie życzy.

„Ale dług publiczny wynosi już 200 miliardów! Jak go zwrócimy?” – pyta burmistrz. „Zaciągniemy nowe pożyczki! Od lat tak robie!” – tłumaczy Donald. – „Sprzedamy nowe BOKi, żeby wykupić stare! W ten sposób pociągniemy tak długo, aż rozwiążemy wszystkie problemy”.

Oprocentowanie nowych serii BOKów wzrasta do 22%. Rada Miejska kupuje nowe autobusy. „Dług wzrósł już do 250 miliardów!” – informuje burmistrza księgowy. Jest na to rada: „Wydrukować nowe BOKi!”.

Pracownicy miejscy dostają podwyżki. „Frانيا! Do stałem [...] 10.000 dolców!” – krzyczy radośnie jeden z nich. „Nie podniecaj się tak!” – studzi entuzjazm męża Frانيا. – „Aby zyskać pieniądze na spłatę długu, Rada Miejska podniosła czesne w szkołach do 20.000 dolarów rocznie!”. „Ktoś tu udaje głupiego! Zażądam następnej podwyżki!” – decyduje mąż.

19. W Kaczogrodzie szaleje inflacja. Rada Miejska wciąż nie chce powiedzieć mieszkańcom o tym, że ich pieniądze przepadły. Władze podejmują decyzję, że będą utrzymywały prawdę w tajemnicy jak najdłużej i drukują kolejne sterty bezwartościowych obligacji.

„Zasiłki dla bezrobotnych zwiększyły dług do 350 miliardów!” – donosi niestrudzenie księgowy.

Siostrzeńcy, którzy zdają sobie sprawę z powagi sytuacji, udają się po radę do Sknerusa. „Dług publiczny wynosi już 545 miliardów dolarów” – alarmują. – „Tylko ty możesz uratować Kaczogród!”. „Głowa do góry!” – uspokaja McKwacz. – „Zajmę się tym i przy okazji dam kaczogrodzianom nauczkę!”.

Niedługo potem Sknerus pojawia się w ratuszu. Przynosi ze sobą obligacje o wartości stu miliardów dolarów i żąda zwrotu pożyczki z odsetkami. „Ale Rada nie ma... chciałem powiedzieć... niech pan przedłuży swoje BOKi! Gwarantujemy...” – bełkocze przerażony burmistrz. „Mam dość świstków! Dajcie mi prawdziwe pieniądze!” – domaga się McKwacz. Burmistrz przyznaje, że Rada Miejska „nie ma takiej forsy”, w związku z czym wierzyciel „musi poczekać”. „Ani myślę!” – ripostuje Sknerus i przedstawia szefa swojej „armii adwokatów”. Prawnik wyjaśnia, że, jeśli władze państwowe nie są w stanie zwrócić w ustalonym terminie zaciągniętej pożyczki, muszą ogłosić bankructwo. „Pańskie pieniądze służą szlachetnej sprawie!” – próbuje przekonywać burmistrz. – „Odnawiamy miasto zdevastowane przez nieodpowiedzialnych mieszkańców... zbudowaliśmy nową obwodnicę...”. „Kosztowała nas dokładnie sto miliardów!” – dodaje Donald. „Więc dajcie mi obwodnicę!” – proponuje Sknerus. – „Powstała za moje pieniądze... a zatem jest moja!”. „Mowy nie ma!” – odpowiada burmistrz, ale „szef armii adwokatów” przypomina o konsekwencjach niedotrzymania umowy. Rada Miasta przekazuje więc obwodnicę Sknerusowi, który zapowiada, że „zajmie się swoją własnością” i „postara się, żeby przynosiła zysk”.

Sknerus zaczyna pobierać opłaty za przejazd. „Teraz obwodnica należy do mnie!” – informuje kierowców.

Wkrótce potem media informują, że Sknerus dostał obwodnicę, „bo Rada nie miała gotówki na wykupienie

jego BOKów”. Wieść rozchodzi się szybko. Kaczogrodzianie tłumnie przybywają do ratusza, żądając zwrotu swoich pieniędzy.

20. Wystarczy, żeby prawda dotycząca jakiejś kwestii ujrzała światło dzienne choć na chwilę, a utrzymywana przez dłuższy czas fikcja prędko upada.

Burmistrz nie wie, co robić. „Niech mi pan pozwoli działać... Uratuję was!” – proponuje Sknerus. Burmistrz się zgadza. Po chwili Sknerus przemawia z okna ratusza do zgromadzonych: „Wasze pieniądze nie zostały roztrwonione! Dzięki nim stworzono wspólne dobro o wielkiej wartości! A zatem... miasto należy do was! Każdy z was otrzyma tytuł własności pewnej części mienia komunalnego”. I tak się dzieje.

21. Komiks przedstawia tematykę prywatyzacji w sytuacji niemal idealnej. Na podstawie wartości wykupionych obligacji można stwierdzić, jaka część mienia komunalnego należy się każdemu wierzycielowi.

22. Prawdopodobnie nigdy nie uda się przeprowadzić prywatyzacji i reprivatyzacji w taki sposób, aby wszyscy byli w 100% usatysfakcjonowani. To nie powód żeby z niej rezygnować. Z moralnego i ekonomicznego punktu widzenia lepiej jest, jeśli wszystko ma prywatnych właścicieli.

23. Im dłużej zwleka się z prywatyzacją, tym bardziej narasta dług publiczny. Im prędzej każdy skrawek ziemi i każdy przedmiot będzie miał prywatnego właściciela, tym szybciej wyjdziemy z błędnego koła i zlikwidujemy mechanizm napędzający zadłużenie.

Kaczogród z dnia na dzień zmienia oblicze. Mieszkańcy troszczą się o swoją własność. Wandale mają utrudnione życie, bo prywatni właściciele skutecznie bronią swego mienia.

„Ulice nigdy nie były takie czyste, a ludzie stali się niezwykle porządni i odpowiedzialni” – cieszą się siostrzeńcy. „Pojęcie własności nie jest już pojęciem abstrakcyjnym! Wandale i chuligani praktycznie zniknęli z ulic!” – mówi burmistrz.

24. Nawet przedstawiciel państwa zauważył wartość własności i konsekwencje wynikające z powszechnego uwłaszczenia.

25. Prywatni właściciele ulic, parków, ławek i drzew mają interes w zwalczaniu bandytyzmu.

Wartość terenu, gdzie nie dokonuje się przestępstw, rośnie.

I dodaje: „Teraz mieszkańcy chętniej płacą podatki! Wkrótce zgromadzimy dość pieniędzy, by odkupić mienie komunalne...” „...i oddać kaczogrodzianom ich oszczędności!” – kończy Sknerus. – „Ja także wkrótce oddam wam obwodnicę... a zarobione pieniądze zainwestuję w nowe BOKi!”. „Chce pan kupić nowe BOKi?” – dziwi się burmistrz. „Oczywiście! To niezły interes! [...] Zresztą BOKi przynoszą nie tylko materialne zyski! [...] uzdrowiły finanse miasta, ale przede wszystkim przemieniły naszych współmieszkańców w Bardzo Odpowiedzialnych Kaczogrodzian!”.

Zakończenie komiksu wydaje się dziwne. Czy rzeczywiście trzeba dokonać nacjonalizacji i wrócić do nieudanego eksperymentu, polegającego na zarządzaniu miastem przez urzędników państwowych?

Można z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że po powrocie do stanu wyjścia historia się powtórzy: Rada Miasta będzie nieudolnie kierować powierzonym sobie mieniem, zaciągnie nowe długi, wypuści kolejne serie obligacji, doprowadzi do gigantycznej inflacji...

Podobny scenariusz, rozpatrywany w skali światowej, przewidywał Tomasz Gabiś, pisząc o wolnościowych koncepcjach Hansa-Hermanna Hoppego: „I żyć będziemy długo i szczęśliwie w manarchii. A potem... potem, po dwustu, trzystu latach wszystko zacznie się

od początku: znowu absolutne monarchie, znowu narodowe demokracje, znowu powszechne prawo wyborcze, znowu podatki, wyzysk i ucisk. Aż pojawi się jakiś nowy profesor Hoppe i nowi manarchiści”<sup>b</sup>.

Czy cykliczne przeplatanie się społeczeństw wolnościowych i organizacji państwowych jest nieuniknione? Tomasz Jefferson powiedział, że „Ceną wolności jest wieczna czujność”. Nie istnieją żadne nieubłagane prawa dziejowe, które uniemożliwiałyby ludziom stałą troskę o wolność. Czy mieszkańcy Kaczogrodu osłabiają czujność, zgodzą się na odebranie im własności i powrót administracji państwowej? Nawet jeśli rzeczywiście tak się stanie, to będziemy pamiętać, że choć przez chwilę na mapie świata istniał Kaczogród, którego mieszkańcy cieszyli się wolnością.

## Przypisy

<sup>a</sup> *Zarobek na BOKu*, „Komiks Gigant”, 3/1993, s. 209-254.

<sup>b</sup> Tomasz Gabiś, *Hans-Hermann Hoppe o monarchii, demokracji i ładzie naturalnym*, „Laissez Faire”, XII 2006, s. 4, <http://www.mises.pl/>

## KSIĄŻKA

**Aleksander Litwinienko, *Przestępcy z Łubianki*,  
Oficina Wydawnicza Volumen, 2007**

Od niedawna na półkach w księgarniach można znaleźć książkę Aleksandra Litwinienki. Autor był ważnym agentem rosyjskiej służby bezpieczeństwa. Po raz pierwszy zrobiło się o nim głośno w 1999 roku, kiedy zwołał konferencję prasową, na której ujawnił, że w przeddzień drugiej wojny czeczeńskiej formacja, w której pracował dostała zlecenie na zorganizowanie zamachów bombowych w rosyjskich osiedlach mieszkaniowych. Wysłania były upozorowane w taki sposób, żeby wydawało się, że dokonali ich Czeczeni. Litwinienko zdradził ten plan i za swój czyn musiał ponieść karę. Po raz kolejny okazało się, że w razie potrzeby na każdego znajdzie się paragraf. Człowiek, który *de facto* posiadał licencję na zabijanie, został oskarżony o (sic!) wymuszenie groszku zielonego w sklepie z warzywami. Następny rok były agent spędza na przemian w sądach i w więzieniach. W październiku 2000 roku ucieka, najpierw do Turcji, potem do Wielkiej Brytanii. Pomogła mu zapewne protekcja, jaką cieszył się wśród niektórych przedstawicieli rosyjskiej władzy i biznesu.

Kolejny raz o Litwinience staje się głośno w dużo bardziej dramatycznych okolicznościach. Jesienią 2006 roku został otruty polonem i zmarł w kilka dni potem. Zanim jednak to się stało zdążył odbyć szereg rozmów z dziennikarzem Akramem Murtazajewem. Rozmowy te zostały spisane i opublikowana w formie książki, która staraniem Oficyny Wydawniczej Volumen została przetłumaczona na polski i niedawno wydana pod tytułem *Przestępcy z Łubianki*.

W rozmowach z Murtazajewem Aleksander Litwinienko opisuje swoją ponad dwudziestoletnią karierę w rosyjskich służbach specjalnych. Śledzimy jego losy od nauki w wyższej szkole KGB, przez kolejne szczeble pracy operacyjnej, aż po kontakty z elitami władzy i biznesu, które zawierał już jako wysoki rangą oficer Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Przez karty *Przestępców z Łubianki* przewijają się dziesiątki czołowych

postaci historii najnowszej Rosji: Jelcyn, Czubajs, Dia-czenko, Czarnomyrdin, Bierzowski, Abramow... Nazwisk i zdarzeń jest tyle, że nawet doświadczony korespondent TVN24 zza wschodniej granicy nie zdoła się w tym wszystkim połapać. Nie ma jednak takiej potrzeby, gdyż podręczników historii najnowszej Federacji Rosyjskiej jest wiele. Litwinienko nie był dziejopisarzem, tylko agentem operacyjnym. W jego książce nie jest ważne to, co dokładnie się wydarzyło, choć zdarzenia w niej przywołane mogą niektórych szokować. Dużo ciekawsze jest to, jakie były kulisy pewnych epizodów historycznych.

Zacznijmy od tego, że służb specjalnych w Rosji było wiele: Centrum Antyterrorystyczne Federacji Rosyjskiej, Urząd do Walki z Przemytem i Korupcją, Federalna Służba Bezpieczeństwa, Służba Bezpieczeństwa Prezydenta – by wymienić chociaż kilka. Służby zjadły ze sobą konkurowały. Razem ze swoimi protektorami z kręgów władzy i biznesu tworzyły mafie nie cofające się przed użyciem wszelkich środków prawnych i pozaprawnych w walce o wpływy i pieniądze. Na zewnątrz występowały jako „normalne” partie polityczne i firmy. W rzeczywistości były to salony scalone nie pogłębami, ale interesami i przemocą. Litwinienko uczestniczył w tym układzie, jednak albo przegrana, albo wyrzuty sumienia skłoniły go do odsłonięcia tych kulisów rosyjskiej rzeczywistości.

Książka *Przestępcy z Łubianki* w żadnym wypadku nie jest wykładem spiskowej teorii dziejów, nie sugeruje, że służby specjalne rządzą wszystkim. Są one raczej czarną stroną złożonej struktury powiązań towarzysko-biznesowo-politycznych, obecnej w mniejszym lub większym stopniu w każdym państwie, w której niezmiernie trudno jest powiedzieć, kto posiada władzę, a kto jest tylko jej narzędziem. Lektura wywiadów z Litwinienką jest jedną z rzadkich okazji by przyjrzeć się tej strukturze i mechanizmom jej działania z perspektywy kogoś, kto w niej uczestniczył.

Karol Lew Pogorzelski